WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. | Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 20. Kraków, dnia 25. listopada. 1900.

W rocznicę powstania listopadowego.

„I cóż lepszego robić w dniach żałoby,
„Pośród cmentarza, jak chodzić na groby,
„Rzucać tam kwiaty boleści i cześci,
„Zagasłe życie rozpalić w powieści
„I przeszłość w przyszłość przelewać?
S. Goszczyński.

I cóż lepszego robić w dniach ucisku, pogromu, niewoli i bólu wielkiego, jak nie zwracać się myślą w przeszłość, nie czerpać we wzniosłych chwilach zapału i ognia uniesienia, nie rozgrzewać uczuć płomienną miłością Ojczyzny i nie dumać nad pracą dla przyszłości?

Cóż lepszego robić dziś — gdy życie splata się dziwną spokojną monotonnością, a walka o chleb zdaje się pożera najżywotniejsze siły, gdy silne hasła, wzywające do poświęcenia dla Ojczyzny, nie dzwonią i serca w chłodnym egoizmie toną... cóż robić jak nie patrzeć w przeszłość i od niej uczyć się służby narodowej? I cóż robić lepszego, gdy narodowe życie gaśnie, gdy nowomodne prądy chcą zburzyć u nas ideały przeszłości, jak nie zbierać w chwilach wspomnień dziejowych i nie karmić ducha wielkimi obrazami czynów podniosłych? Wszakże to nie zbyt trudne, nie zbyt uciążliwe, a czysto-szlachetne — Boże — narodowe...

Uderza dzwon czasu bolesną datę rocznicy powstania listopadowego, — a my na ten dźwięk jak na głos sygnaturki kościelnej zbieramy się — łączymy serca i myśli w jedno ognisko — jedną myślą zespalamy uczucia... Jak dzieci osierocone stajemy nad grobowcem przeszłości i, wpatrując się w jej kartę, pytamy — a jakaż przyszłość? Przyszłość! Do nas należy. Jaką ją wykują dłonie rzemieślnicze, jaką wykolebają pieśni matek, jaką wypiastują serca żon — córek naszych, jaką ją wychowają ojcowie nasi, zasieją kapłani, nauczyciele, piewcy ludu... taką będzie, ale idzie właśnie o to, aby była godną przeszłości — abyśmy stali się czystymi, godnymi czci ojców.

Wśród kart historyi Ojczyzny naszej, tyle znajduje się chwil pięknych, jasnych, podniosłych i wielkich, że istotnie, gdybyśmy chcieli czcić je wszystkie jak należy, godnie, uroczyście i poważnie, rok cały byłby chyba jednem wielkiem świętem, a życie nasze całe poświęcone rozwadze nad tem, jak powinien żyć naród dziś — by był godnym zdobyć lepszą przyszłość. Najpiękniejsza to księga cnot męztwa — poświęcenia, szlachetności i poczciwie pojętego życia, w obec Boga, narodu, księga naszych dziejów. A chociaż tu lub tam, zarysuje się jakiś błąd lub przewrot — przecież w obec tych blasków chwały i sławy i w obec tych zasług wielu, jakie niezatartemi zgłoskami rysują się wśród kart przeszłości, drobne te braki nikną, a całość zawsze przemawia do nas głosem potęgi niezrównanej. Kto z nas tylko raz jeden bodaj zrozumieć zdołał jakie było życie Polski dawnej, jakie jej doniosłe zadanie i przeznaczenie, ten też zrozumieć zdoła i ów bolesny stan kraju, jaki po gromach nieszczęść rozbioru Ojczyzny wśród synów jej zapanował, który rwał ich serca i myśli, ku obronie czynnej, a w dłonie kładł im miecze, kosy i pałasze...

Polska — od dni jej rozwoju — od wyłonienia się jej z za mgły i podań bajecznych, aż do dni dzisiejszych, dni okropnego pogromu, prześladowania i ciemiężenia, była zawsze Polską wojującą, i z sztandarem walki za wolność, podniesionym wysoko a szlachetnie, szła przez dziesięć wieków drogą posłannictwa dobrze zrozumianego.

Była ona kapłanką wolności i nią być nie przestała. Była istotnie tem orlęciem, które wśród pęt i krat żyć nie mogło. A chociaż sama będąc wolną, szczęśliwą i potężną żyć mogła spokojnie — nie odłożyła przecież miecza nigdy na długo z swej dłoni, bo o wolność ludów sąsiednich długie walki staczała. Walka za wolność, to była pieśń życia tej Ojczyzny Piastów, Jagiełłów, Sobieskich, Rejtanów, Kościuszki i tylu — tylu innych mężnych bohaterów. Walka za wolność — to było hasło tego ludu cichego i gorąco do ziemi swej przywiązanego, który chociaż życie rodzinne i domowe cenił bardzo, a pracę swą na roli miłował serdecznie, przecież dla tej wolności rzucał progi domowe, i szedł w pole walki z pieśnią pobożną na ustach.

Walka za wolność, była też i jest dziś jeszcze świętą powinnością dla nas, patrzących na czarny kir niewoli, rzucony na kraj niegdyś wolny — i o tem właśnie, jak tę walkę pojąć należy, dziś — w dniu uroczystym wspomnień o Belwederze i o powstaniu w Warszawie w r. 1830 w listopadzie poczętem, zastanowić nam się wypada... — Rocznica ta, którą wkrótce uczcimy, to także jedna z tych wielu chwil podniosłych i świętych w historyi Ojczyzny, których mamy nie mało. To także owo wielkie poważne święto narodowe, które powinno być czczone z majestatem i rozwagą... Ale samo wspomnienie walki tej i odtworzenie dziejowe wypadków, kolejno po sobie następujących, jeszcze nie wystarczy na obchód narodowy — bo nad słowa, uczucia i myśli — potężniejsze są czyny. Dzisiejsza rocznica jest z szeregu chwil wielkich, jak z skarbca cennych darów przeszłości wyjęta. To także walka za wolność, ale nie ta, w której szeregi polskiego rycerstwa stają murem obronnym przeciw nawale dziczy od wschodu płynącej — nie ta, w której zastępy synów z ziemi Piastów idą nad Dunaj, by przemódz potęgę Turków, grożących całej Europie — nie ta też, w której młódź nasza pod wodzą osiwiałych bojowników, idzie walczyć ze Szwedem lub Moskalem, gdy coraz srożej na zgubę naszej wolności nastaje... — To walka krwawa, sieroca i smutna o odebranie już tego, co nam bezprawnie zabrano... to dalszy ciąg konfederacji Barskiej, powstania Kościuszki i legionów polskich...

Ale to walka dzieci rwących okowy, niesłusznie na ich dłonie nałożone, to boj wywołany uciskiem i prześladowaniem, to protest żywych, którym przecież powiedziano, że już umarli, to też jest jakby modlitwą błagalną krwi przelanej w imię odzyskania niepodległości. Chwycili za broń w ową noc pamiętną ci bohaterowie nieustraszeni i rozpoczęli walkę, bo dłużej już im tak biernie i kornie cierpieć nie przystało, bo hańbą było dla synów Polski, znosić spokojnie te prześladowania i męczeństwa, jakiemi naród gnębiono, zabijano i tracono. Chwycili za broń, bo tak na nich głos powinności wołał, bo też jeszcze nie ucichły dla nich echa szczęku oręży, po walkach przedsiębranych od czasów nieszczęsnych rozbiorów Polski, a chociaż walka ta

Pierwsi polscy antysemiccy kandydaci na posłów do Rady państwa.



Franciszek Wojtyga,
nauczyciel w Półwsiu zwierzynieckiem, kandydat na posła z IV kuryi krakowskiej.



Dr. Michał Danielak.
kandydat na posła z V. kuryi nowosądeckiej.



Franciszek Ptak, gospodarz w Bieńczycach,
kandydat na posła z V. kuryi krakowskiej.

pęt nie przecięła i wolności Polsce nie wróciła, była jednak czynem wielkim i dała znać światu, że okowy moskiewskie i knuty ducha w narodzie nie zgaszą, a przemoc wrogów nadziei w życiu nie odbierze... Chwycili za broń, i poszli na długie miesiące bojowania, wśród wielu trudności nie dających się określić, wśród wielu braków rzeczy najniezbędniejszych — a słusznie też jeden z pieśniarzy powiada:

> ...pokaż jeden z tak wielkich narodów,
> Któryby więcej cnoty dał nad Twój do-[wodów,
> Pokaż kraj z rzędu mocarstw raz już [wymazany,
> Żeby z równym zapałem kruszył swe [kajdany.
> Trzeba mocy nadludzkiej, trzeba na to [cudu.
> Ażeby przez lat tyle tłumiony duch ludu,
> Pomieszany z obcemi, tylekroć zwiedziony
> Tak szybko i tak mężnie stanął do obrony...
> Trudno tak prędko zebrać siły już gotowe,
> Jak on pułki do boju wyprowadzić nowe,
> Żeby kmiotek, co ledwo pług wypuścił [z dłoni,
> Pierwszy raz wziętej w ręce umiał użyć [broni...

Żeby też tyle wytrwałości, i wiary w skuteczność tej walki towarzyszyło tym, którzy porywani, więzieni, na Sybir gnani, szli zawsze z czołem podniesionem w górę i zachęcali tych, których żegnali, którzy zostawali by pracować dalej...

Zapał wielki, miłość Ojczyzny, ufność w siłę ducha nie oręża, oto były skarby naszych powstańców...

Oddali wszystko Ojczyźnie — poświęcili swe lata młode, swe marzenia i pragnienia, ciszę i szczęście domowe, przyszłość i spokój, a poszli w bój krwawy... Okryli się kilkakrotnie aurolą zwycięztw, pod Grochowem, Wawrem, Stoczkiem, Dębiem i Iganiem, i sławę polskiego męztwa znów echem nowem po świecie roznieśli... lecz któż policzy ile oni wycierpieli dla tej najdroższej, najświętszej i najczystszej sprawy?

Kto policzy mogiły, krzyże, szubienice i ofiary poległe wśród dróg Sybiru? Kto powie ile żon, matek, sióstr i sierót zostało potem w Ojczyźnie żałobą okrytych, ile też spłynęło fal Wisły, ile modlitw z tej ziemi nieszczęsnej wzniosło się ku niebu? Czy my — my dzieci dzisiejszej epoki, synowie obecnej ery i wychowańcy wedle nowych nowych haseł postępu, możemy rzec z ręką na sercu, żeśmy znaczenie tej walki o niepodległość zrozumieli dobrze, i wiemy, jaki jej kierunek dziś wśród nas być powinien? Czy wspominając ową pamiętną noc Belwederską, i za nią idący cały szereg długich miesięcy służby w obozie wśród zapasów, możemy powiedzieć, że idziemy śladem ojców naszych, i o wolność narodową bój mężny toczymy?... (C. d. n.)

Z cyklu:
„Do cieniów matki“.

II.

Dzisiaj poszedłem na cichą mogiłę,
Gdzie brzoza smutnie swe czoło nachyla,
Wśród traw zielonych te krzyże pochyłe,
Co runąć mogą lada drobna chwila,
Duszę mi bólem przejęły bez granic,
Bo życie ziemskie zdaje mi się — na nic...

Tu obok stoi z marmuru wykuty
Grobowiec, lśniący zbytkiem i przepychem;
W koło trujący wyrósł kwiat cykuty
Nad ludzką pychą i nad ziemskim szychem,
Białe kolumny zaległa martwota,
A duch zagłady starł napisy z złota.

Tu się znów w ziemię zapadła mogiła
I nie nieuważny depce ją przechodzeń;
Od słońca łezka się rosy zalśniła,
Bo słońce zmarłych tu odwiedza co dzień.
Lecz i tu pusto i tak strasznie głucho,
Że ową ciszę tylko słyszy ucho.

Spoglądam na te zamarłe obszary,
Zalane słońca roztopionem złotem,
Co się przedziera między grobu szpary,
Igrając z prochem umarłych — a potem
Rzuca te szczątki między zaschłe liście,
By tam czekały — znów na jego przyjście.

A gdy się z rana w morzu łez obmyje,
Powstaje znowu jaśniejsze niż wczora,
I proch ogrzewa — a proch znowu żyje...
Wiatr go porywa nad modre jeziora,
Kędy z głębiny tajemniczych toni,
Trzciną się smukłą — lub kwiatem wyłoni.

Albo go niesie na urwiska skalne,
Po nad przepaści zwisające brzegi,
Kędy żałośnie wyją wichry halne,
Gdzie śmierć, martwota i odwieczne śniegi,
I z rany skalnej, na łodyżce wiotkiej,
Wyrasta cichy, smutny kwiat szarotki.

Czem jesteś życie? Tajemną głębiną,
W której rozpacze i bóle bez echa
Przechodzą w wieczność — i bez echa giną,
Gdzie się prócz słońca — już nic nie uśmiecha?
Gdzie patrząc na twarz z Chrystusa obliczem,
Wyczytasz straszne: „Prochu! Jesteś niczem“!?

Michał Magiera.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Dwa lata temu ziemiaństwo po długich naradach postanowiło dawać 300 rubli na powiększenie lekarskiego personalu w miejskim szpitalu i do pomocy Andrzejowi Efimyczowi wezwano nowego doktora, Eugieniusza Teodorowicza Hobołowa. Młody człowiek, lat trzydziestu, wysoki, brunet, o szerokich kościach policzkowych i maleńkich oczach, o typie cudzoziemskim, przyjechał do miasta bez grosza, z małym tłomoczkiem i z młodą, brzydką kobietą, która zajmowała pozycyę kucharki. Kobieta ta karmiła dziecko. Doktor chodził zwykle w wysokich butach, a zimą w krótkim kożuszku. Zaprzyjaźnił się z felczerem Sergiejem Sergiejewiczem i z kasyerem, pozostałych urzędników, nie wiadomo dlaczego, zowiąc arystokracyą i stroniąc od nich. W mieszkaniu jego, prócz książki „Najnowsze recepty wiedeńskiej kliniki z 1881 roku“, nie ma nic więcej. Idąc do chorego, zabiera ze sobą ten podręcznik. Wieczorami w klubie grywa w bilard, kart wogóle nie lubi; dwa razy tygodniowo odwiedza wszystkie oddziały i przyjmuje chorych. Zwykłe przepisy, jak: pijawki, bańki, irytują go, ale nowych nie wprowadza porządków, bojąc się obrazić Andrzeja Efimycza, którego na stronie nazywa starym niedołęgą, podejrzewa go przytem o majątek i w głębi serca zazdrości mu. Z przyjemnością zająłby jego miejsce.

IX.

W jeden wiosenny wieczór, przy końcu marca, kiedy już śniegi stajały, a w ogrodzie szpitalnym śpiewały skowronki, stary doktor wyszedł odprowadzić aż za ogród swego przyjaciela, poczmistrza. W tym czasie wracał do szpitala żyd Mosiek, ze swojej przechadzki po mieście. Był bez czapki, w płytkich pantoflach na bosych nogach, w ręku trzymał niewielki woreczek z jałmużną.

— Dajcie kopiejkę! — powiedział do doktora, wyciągając rękę i drżąc od chłodu.

Andrzej Efimycz, który nie umiał nigdy odmawiać, podał mu monetę.

„Jak to nie dobrze — pomyślał, patrząc na jego nogi bose, o wystających czerwonych kościach, — przecież wilgoć“.

Party uczuciem, podobnem do litości i współczucia, szedł do oddziału za obłąkanym żydem, patrząc to na jego łysinę, to na sine nogi. Widząc doktora, Nikita zeskoczył ze sterty śmieci i wyprostował się.

— Jak się masz, Nikita? — powiedział grzecznie Andrzej Efimowicz; — możeby temu żydowi wydać buty, bo inaczej przeziębi się.

— Słucham wielmożnego pana. Powiem dozorcy.

— Proszę bardzo. Powiedz mu w moiem imieniu. Powiedz, że ja prosiłem.

Drzwi z sieni do sali obłąkanych były otwarte. Jan Dmitricz, słysząc obcy głos, z trwogą uniósł głowę na łóżku i wsłuchiwał się, aż poznał doktora. Zatrząsł się z gniewu, wyskoczył z łóżka i z czerwoną, złą twarzą, z wytrzeszczonemi oczyma wyleciał na środek sali.

— Doktor przyszedł! — krzyknął i zaśmiał się. — Nakoniec! Panowie! witam! doktor zaszczyca nas swoją obecnością! przeklęty gad! — i z energią, jakiej nigdy u niego nie widziano, tupał nogami. — Zabić to bydlę! nie, za mało zabić! utopić w miejscu ustępowem!

Andrzej Efimycz, słysząc jego słowa, wyjrzał z sieni i grzecznie rzekł:

— A za co?

— Za co? — krzyczał Jan Dmitricz, podchodząc do niego zapalczywie i szczelnie zawijając się w chałat. — Za co? on się pyta, złodziej! — ciągnął ze wstrętem, składając usta do splunięcia. — Szarlatan! owczarz!

— Proszę się uspokoić — mówił doktor łagodnie. — Zapewniam was, że nic nigdy nie ukradłem, więc nie wiem, dlaczego... Widzę, że jesteś pan na mnie zły. Proszę się uspokoić i, jeżeli można, proszę mi powiedzieć bez uniesienia: za co? za co?

— A dlaczego mnie pan tu więzi?

— Dlaczego? bo pan jesteś chory

— Tak, chory! A przecież dziesiątki i setki waryatów chodzą swobodnie po świecie, dlatego, że wasza głupota nie jest w stanie odróżnić ich od zdrowych. Dlatego, że ja i ci nieszczęśliwi powinni być tu zamknięci za wszystkich, jak kozły ofiarne. Pan, felczer, dozorca i cała ta szpitalna hołota w rzeczywistości stoi niżej od każdego z nas. Dlaczegóż więc my tu siedzimy, a nie wy? gdzie logika?

— Sens i logika nie ma nic do rzeczy. Wszystko zależy od wypadku. Kogo zamknęli, ten siedzi, a kogo nie, ten swobodny — oto wszystko. A że ja jestem doktorem, a wy umysłowo chorym, nie ma w tem ni sensu, ni logiki, a tylko prosty przypadek.

— Tego nonsensu nie rozumiem — głucho odparł Jan Dmitricz i siadł na łóżku. (C. d. n.)

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Przy dzieleniu pieniędzy Janina, która hebrajski dokument zabrała ze sobą, rzekła tylko z szyderczym uśmiechem:

— Wiesz papo Müller, wyczytałam po wielkich trudach w pierwszych wierszach testamentu, że mamy się zabrać do urzeczywistnienia zawartych w nim poleceń dopiero wtedy, gdy się nasz majątek potroi. Najwygodniej będzie i mnie i tobie, jeżeli nad tem potrojeniem będziemy pracować osobno. Już się potem znajdziemy, gdy będzie trzeba!

Müller z flegmą i w milczeniu schował pieniądze i zniknął między pasażerami trzeciej klasy, mrucząc przez fajkę kilka słów obojętnego pożegnania. Janina oparta o ramię pięknego młodzieńca wstąpiła lekko, swobodnie, z rozpromienioną twarzą na schodki *sleeping-car*; po których za nią wbiegł książe Czarotyński, mniemając, że wstępuje w kraj niezmierzonego szczęścia, nieopisanych upojeń, bezgranicznej poezyi... Po kilku miesiącach powrócił z podróży do niepoznania zmieniony. Nikt nie rozumiał, co się z nim stało. Z wesołego, lekkomyślnego trochę młodzieńca, jakim był przedtem, nie zostało ani śladu. Wyrzuty, że zaniechał karyery w służbie politycznej przyjął wzruszeniem ramion. Cały czas spędzał na studyowaniu dzieł technicznych, na konferencyach z przemysłowcami, na oglądaniu fabryk. Rodzina była tem poprostu przerażona, wtenczas gdy pewnego dnia oświadczył, że zamierza cały swój majątek obrócić na cele podniesienia przemysłu krajowego i że w tej sprawie pozawierał już umowy z kapitalistami zagranicznymi. Opowiadał, że to, co widział w Ameryce, otworzyło mu dopiero oczy: cała potęga społeczeństwa opiera się na jego przemyśle. Jest to jedyna droga, jaką nasz naród może dążyć do przyszłości. Młody książe mówił o tem z tak płomiennym zapałem, tak całkowicie przejęty był swoją ideą, — że powoli począł oddziaływać na otoczenie.

Przez jakiś czas w całem mieście nie mówiono o niczem innem, jak tylko o tym arystokratycznym młodzieńcu, który nietylko nazwiska swojego użyczał na firmy dla fabryk i warsztatów, ale pieniędzmi swojemi spieszył z pomocą każdemu przemysłowcowi, zmuszonemu dotąd przez brak kredytu do marnej egzystencyi. Czarotyński stał się odrazu jednym z najpopularniejszych ludzi. Kiedy zaś gruchnęła wieść, że jedzie napowrót do Ameryki, ażeby tam pracując jako robotnik przy potwornie olbrzymich zakładach przemysłowych, zapoznać się z ich tajemnicami i potem samemu stanąć na czele ogromnego przedsiębiorstwa, którego bliższe szczegóły miały na razie pozostać w tajemnicy, — entuzyazm dla niego nie miał granic.

Czarotyński przepędził w Ameryce tym razem pełne trzy lata. Wiadomości nadchodziły o nim skąpo; wiedziano o nim tylko tyle, że naprawdę pracował ciężko i że ów wielki pomysł, który miał ugruntować powodzenie materyalne kraju coraz bliższy jest urzeczywistnienia. To też prawdziwą sensacyę sprawiło doniesienie jednego z dzienników, który ogłosił, że przyjazdu księcia oczekiwać już trzeba w tygodniach najbliższych, ale że książe nie wróci do kraju sam jeden, gdyż towarzyszyć mu będzie urocza małżonka, wybrana z pomiędzy milionerek amerykańskich, właścicielka właśnie tego zakładu, w którym jako dobrowolny robotnik pracował. Doniesienie uzupełnione zostało naturalnie opowiadaniem szczegółowem o tem, jak piękna milionerka zwiedzając przez kaprys swoje fabryki, zobaczywszy przy pracy uroczego i dystyngowanego młodzieńca w robotniczej bluzie, zakochała się w nim od pierwszego spojrzenia, nie wiedząc o jego książęcem pochodzeniu i jak dopiero po wymianie pierścionków wyjaśniła się tajemnica, kim jest ów piękny robotnik.

Oczywiście w tej historyi prawdą było to tylko, że książe się ożenił; ożenił się jednak jeszcze podczas pierwszego swojego w Ameryce pobytu, ulegając życzeniu kochanki, która umiała zapanować nad nim wszechwładnie. Czarotyński ani się nie domyślał, kim była jego żona; nawet się domyśleć nie starał. Stał się poprostu jej cieniem i echem; był posłusznem i biernem narzędziem jej woli; ona to także rozbudziła w nim gorączkę pracy przedsiębiorczości i bogactwa, której uległ.

Nadeszła wreszcie chwila, w której Czarotyński miał wrócić do kraju, nadeszła chwila, w której małżonka jego zdecydowała się ujawnić związek dotąd w sekrecie trzymany. Janina wyjechała do Europy na kilka miesięcy przed mężem. Czarotyński nie miał o niej żadnej wiadomości aż do dnia przybycia do Hamburga. Tu dopiero w hotelu zastał depeszę, wzywającą go lakonicznie do Monte Carlo.

Przypadkowe spotkanie się z państwem Arnim Besthoff i baronową Grünschild w pociągu dojeżdżającym do Monte Carlo zdziwiło Czarotyńskiego. Słyszał dużo od Janiny o dawnych pannach Buxspan, wiedział, że pozostaje z niemi nawet w stałej korespondencyi — przypuszczał też odrazu, że celem ich podróży jest spotkanie się z Janiną. To go cokolwiek uspokoiło, bo po otrzymaniu depeszy, książe Ludwik nie mógł się obronić myśli, że żona jego, której dał prawo dowolnego dysponowania ich wspólnym dużym majątkiem, uległa namiętności hazardu i że to był powód jej pobytu w Monte Carlo. Zasnąwszy w wagonie, śnił, że Janinę znajduje już bez życia na hotelowem łóżku, że wręczają mu tylko jej list, błagający o przebaczenie za lekkomyślność, z jaką obróciła w niwecz całe ich szczęście, i pozbawiła ukochanego człowieka środków do urzeczywistnienia celu, dla którego od kilku lat bez wytchnienia pracował. Obecnie — spotkawszy obie przyjaciółki Janiny, Czarotyński domyślił się, że Monte Carlo wybrane zostało przedewszystkiem za punkt zjazdu z niemi, co było tem prawdopodobniejsze, że nieraz słyszał, iż Arnim-Besthoff bywał częstym gościem na salonach Klubu Cudzoziemców.

Obojętność, z jaką przyjęto jego nazwisko, była dowodem, że związek zachodzący pomiędzy nim a Janiną pozostał tajemnicą zarówno dla baronowej Grünschild, jak dla hrabiny Arnim-Besthoff. Nie znając planów Janiny, uznał książe Ludwik za stosowne udać, że słyszy również po raz pierwszy nazwisko swoich towarzyszy podróży i rozmawiał w dalszym ciągu o rzeczach obojętnych.

Pociąg zatrzymał się nareszcie w Monte Carlo. Książe który stał w oknie po lewej stronie i patrzył w niezmierzone dale błękitnych zwierciadeł morza, był pewien, że jeszcze daleko do celu podróży. Gdy pociąg się zatrzymał, odwrócił się nagle; spostrzegł wielki budynek Akcyjny. Więc to już tu! Przed kwadransem po wyjeździe z jakiegoś tunelu wśród cudownej panoramy szerokiej zatoki, zielonych teras, skał, przylądków z białemi willami otoczonemi przez cyprysy, bladej czerwieni dachów błyszczącej ponad białością ścian domów całego wybrzeża, widział zdaleka dziką skałę z rozbójniczem zamczyskiem, a poza nią tronujący nad półkolistym przylądkiem ogromy biały gmach z dwiema wieżami: powiedziano mu że zamczysko to Monaco, gmach z wieżami to Dom Gry.

(C. d. n.).

Julian Bartoszewicz

(Ciąg dalszy.)

Przez zabiegi ojca i przyjaciół, Bartoszewicz został przeniesiony napowrót do Warszawy w r. 1849, a pomimo iż rozporządzenie ministra oświecenia chciało, żeby ci nauczyciele, którzy ukończyli uniwersytety w Petersburgu i Moskwie mieli najlepsze miejsca po gimnazyach, Bartoszewicza przeznaczono do szkoły powiatowej i odtąd przez lat kilkanaście nie otrzymał posady w gimnazyum. Na kuratora zakładów naukowych po generale Okuniewie, postąpił pułkownik Muchanow, który w czasie swojej rządowej służby od r. 1849 do 1861 ani na chwilę nie przestał prześladować Bartoszewicza, za to głównie, że ten pióra swego nie chciał sprzedać widokom władzy. Muchanow nie dawał historykowi chwili pokoju. Aby odciągnąć go od dziejowej pracy, a popchnąć w zakres swojej, urzędowej a bezmyślnej, polecał mu rożne roboty, kazał mu np. pisać o stosunkach Polski z carem Piotrem, to znowu zbierać materyały w Polsce do historyi Piotra. Łudził obietnicami, wysoką pensyą, wyniesieniem — a gdy Bartoszewicz ogłaszał inne swoje prace, srożył się, że nie wykonywa zleconych mu robót rządowych. I rzeczywiście, dla Okuniewa i Muchanowa, którzy przywykli widzieć wszystkich historyków swego narodu piszących tylko dla rządu i za pieniądze rządu, młody Bartoszewicz odrzucający ordery, ruble i łaskę cara, musiał się wydawać jakimś buntowniczym człowiekiem. Muchanow, sam ciemny naukowo, niewykształcony człowiek, pomimo swoich ministeryalnych pretensyj, miał instynkt, powszechny w jego narodzie, iż zawsze trafiał tam, gdzie serce najbardziej zabolało. W oczy np. mawiał Bartoszewiczowi kurator zakładów naukowych, że zajmować się historyą polską jest to „bestyjstwo". Odpowiedzieć na tę obelgę w sposób właściwy, znaczyło za czasów mikołajewskich (i nietylko za nich!) tyle co iść na Sybir, pozostawić w nędzy rodzinę i opuścić ważny posterunek, który byłby zajął pierwszy lepszy Moskal lub nauczyciel „błagonadiożnyj".

Muchanow był systematycznym, złośliwym wrogiem Polski. Ubolewając mocno, że pisma polskie nie były przychylne rządowi i zawsze dziwnie milczały o sprawach literackich i społecznych Moskwy, przez co zręcznie trzymały Polaków w oddaleniu od nowej ich „ojczyzny", zamyślał Muchanow założyć jakieś polskie pismo peryodyczne w rodzaju „Biblioteki warszawskiej". Rozległe plany swoje i rządu chciał zasłonić nazwiskami literatów polskich. Kilka razy, lecz daremnie, proponował redaktorstwo Bartoszewiczowi, to znowu Seweryna Gołębiowskiego (syna Łukasza) wciągał do tej roboty. Choć nie wydawał się ze swoimi planami, ale sama myśl była już podejrzana. Więc skończyło się na lichym kalendarzu wydawanym przez Muchanowa w ciągu lat czterech, który przez nikogo nie kupowany, sprzedany potem został z Komisyi Oświecenia żydom na makulaturę. W parę lat później Muchanow polecił Bartoszewiczowi pisać książkę szkolną na klasę VI-tą, mającą obejmować dzieje średnich wieków. Już nasz historyk wziął się do narzuconej mu pracy, ale gdy w miesiąc potem Muchanow żądał od niego przyjęcia spisanych przez siebie różnych instrukcyj co do ducha, w jakim książka ma być ułożona, Bartoszewicz pomimo gróźb i gniewu zwierzchnika, pracę odrzucił. Przyszedłszy do przekonania, że z „fanatyczną" Polską nic nie będzie można zrobić bez poprzedniego jej wynarodowienia, dręczył Muchanow dalej Bartoszewicza, który, dzięki wielkiemu hartowi ducha, ani na chwilę nie upadł i nie ugiął przed nim czoła.

„Kiedy „Biblioteka warszawska" po 9 latach bytu (pisał redaktor tego pisma Wójcicki) potrzebowała odżywienia i szukała r. 1850 wsparcia u młodszych pisarzy, Bartoszewicz był jednym z najgorliwszych, co do tego odrodzenia poważnego organu prasy naszej, silną przyłożył rękę" (Kłosy t. 4 str. 43). Od tej chwili aż do śmierci był stałym współpracownikiem Biblioteki. Oprócz osobnych artykułów, umieścił w niej sto kilkadziesiąt gruntownych, obszernych recenzyj z dzieł historycznych.

W roku 1851 Bartoszewicz wydał pierwsze oddzielne dzieło: „Królewicze-biskupi". Tegoż roku Henryk Rzewuski założył z Wilkońskim w Warszawie nowe codzienne pismo: „Dziennik Warszawski". Bartoszewicza wezwano do składu redakcyi. Było to pierwsze pismo w Warszawie redagowane na sposób europejski, ale Rzewuski omało nie zabił Dziennika niefortunnem wystąpieniem swojem w artykule „Cywilizacya i Religia", w którym odmówił wszelkiej zasługi rozumowi i pracy, a obstawał za przywilejem. Oburzenie na autora artykułu było tak wielkie, że Rzewuski musiał ustąpić z redakcyi, a Bartoszewicz objął główny ster pisma. Stworzył fejleton oryginalny, umieszczał mnóstwo artykułów naukowych, rozbiorów dzieł historycznych, życiorysów zmarłych autorów polskich. Pierwszy zwracał uwagę publiczności na wszystko, co za granicą pisano o Polsce i wprowadził dotąd u nas nieznany dział drobnych artykułów, które podawały wypadki i rzeczy z codziennego życia, niezwykle ożywiając pismo. Podawał wiadomości i korespondencye zarówno ze wszystkich ziem dawnej Polski, zręcznie wykazując w ten sposób jedność duchowego życia rozćwiertowanego narodu. Drukował nadto wiele listów i dokumentów historycznych. Tym sposobem w „Dziennik" tchnął życie jakiego nie miało dotąd żadne pismo peryodyczne i zreformował warszawskie dziennikarstwo. „Dziennik", zamieniony następnie na „Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych" redagował Bartoszewicz do końca r. 1858.

Wacław Szymanowski w pośmiertnem wspomnieniu o Bartoszewiczu (Tyg. Illustr. z r. 1870 Nr. 150) charakterystycznie opisując posiedzenie literatów radzących nad założeniem nowego pisma w Warszawie „(Dziennika Warszawskiego)" tak mówi: „Było nas więc kilku zebranych w historycznym żółtym saloniku nieodżałowanego chirurga filozofii (Wilkońskiego); rozmowa szła gwarno. Nagle drzwi się otworzyły i ukazała się nowa postać. Był to młody człowiek, wysoki, blady, dość regularnych rysów i smętnego wyrazu twarzy. W chodzie jego i w postawie czuć było jakieś znużenie; widocznie, mimo młodego wieku (miał wtedy lat 29), trudy nad siły podjęte musiały podkopać ten i tak wątły organizm. Zamglone oczy zdawały się jakby gdzieś w dal wpatrzone, a otaczająca je obrączka sina świadczyła o niejednej nocy strawionej nad długą i utrudzającą pracą. W rozmowie dopiero oczy te nabierały dziwnego jakiegoś blasku, twarz się ożywiała, promień myśli wytryskał na czoło. Czuć było inteligencyę, ujętą w karby poważnego rozmysłu. Z całego przytem składu twarzy okazywało się, że uśmiech rzadko na niej musiał gościć. Dziwnie też odbijał od tych młodych ludzi, u których żart często krasił rozmowy i przerywał najpoważniejsze nawet usposobienie. Widocznie nowoprzybyły nie lubił żartować; a siebie i drugich przywykł traktować na seryo.

„Kiedy się następnie zawiązała ogólna rozmowa, uderzył mnie jeden dziwny szczegół. Powiedziałem już, że byliśmy po większej części nieznani sobie, a lubo każdy z osobna pracował coś i działał, niewiele jeden wiedział o drugim.

„Bartoszewicz stanowił wyjątek pod tym względem i od razu się o tem przekonaliśmy. Znał on wszystkich nietylko z nazwiska, ale z prac dokonanych, albo nawet z przedsięwziętych dopiero. Kiedy jeden z nas wyraził z tego powodu Wilkońskiemu swoje zadziwienie, chirurg filozofii odrzekł uśmiechając się: „Co wy tam wiecie? Bartoszewicz ma już każdego z was zakarbowanego na osobnych karteczkach. To straszny człowiek! Niechno przyjdzie na którego z was śmierć, a wszystko powie i napisze czem był, co zrobił".

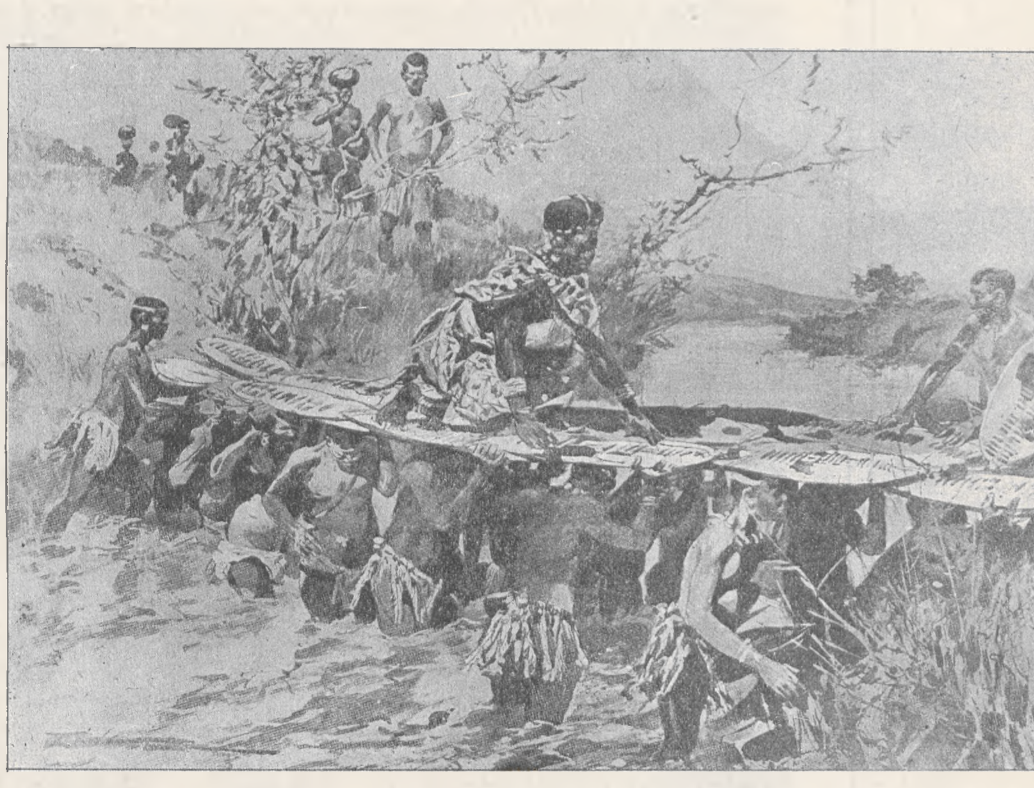
Odtąd prace historyczne sypał jak z rękawa. Oprócz setek artykułów, pomieszczanych po dziennikach warszawskich, oraz we wszystkich prawie miesięcznikach i pismach zbiorowych warszawskich, galicyjskich i poznańskich, wydał osobno w ciągu lat dziewięciu następujące prace: Królewicze biskupi (1851), O pomysłach historycznych A. Bielowskiego (1852), Panowie niemieccy na dworze Stan. Augusta (1852), Bezkrólewie po Janie III Bizardiera (1853), Znakomici mężowie polscy (3 tomy 1853—5), Kościoły warszawskie (1855), Królowie polscy (1856), Arcybiskupi gnieźnieński i Prymasi (1859) Pogląd na stosunki Polski z Turcyą i Tatarami (1859), Hetmani polscy (1860). Prócz tego wydał trzeci tom „Kodeksu dyplomatycznego", uzupełnił obszernemi przypisami „Historyczne pamiątki" T. Święckiego i t. d. Z pomiędzy zaś artykułów rozrzuconych po pismach, niejeden dochodził do objętości obszernego tomu jak np. żywot prymasa Teodora Potockiego, Nowa epoka literatury historycznej polskiej, Kościół Śgo Jędrzeja i t. d. Obszerny, a pierwszy źródłowy życiorys Kopernika napisał po polsku i po łacinie do pomnikowego wydania dzieł wielkiego astronoma. W rękopisie z tych czasów zostawił 2 tomową „Annę Jagiellonkę" wydaną dopiero po jego śmierci, tomowy „Zamek bialski" również dopiero po śmierci wydany, dalej gotowe prawie do druku opowiadanie historyczne z olbrzymich „Epistolae" Załuskiego, Tłomaczenie dziejów Czech Palacky'ego, tomowy życiorys Stanisława Poniatowskiego ojca króla i t. d.

Te prace niestrudzonego badacza zwróciły uwagę uczonych. Mikołaj Malinowski w liście do księgarza Wolffa z r. 1853 unosił się nad „Znakomitymi mężami". „Cieszyłem się (pisał) tem bogactwem szczegółów, tym sądem zdrowym i trafnym o najdrażliwszych wypadkach, tem życiem, którem tchną opisywane postacie. Potężny to talent, po którym dzieje już tyle otrzymawszy, ileż jeszcze oczekiwać mogą". Karol Szajnocha przesyłając Bartoszewiczowi swój „Lechicki początek Polski" prosił go o szczere zdanie o tem dziele, dodając, że „niema nikogo, o którego zdanie więcejby mu chodziło". Uczony Józef Muczkowski będąc w Warszawie pytał się czyby Bartoszewicz nie przyjął katedry na uniwersytecie jagiellońskim — obiecywał tem się szczerze zająć — za chwilę jednak rozpoczęła się germanizacya krakowskiej wszechnicy. Kraszewski, który w początkach występował przeciw Bartoszewiczowi (wynik konkurencyi Dziennika z Gazetą Warszawską) tak przeszedł do jego obozu, że co chwila w Gazecie Codziennej sypał mu pochwałami. Znakomity historyk Józef Łukaszewicz w „Krótkim opisie kościołów dyec. poznańskiej" pisał, że nadzór nad archiwami polskiemi powinien być złożony w ręce Lelewelów i Bartoszewiczów. Lelewel w liście do „kochanego pana Juliana" wyrażał swoją „radość" z otrzymania dzieł jego: „miałem nadzieję (pisał wielki Joachim), iż ktokolwiek się nadarzy, co Wam powie jak dalece myśl moja z Wami jest, jak Wami zaprzątnięta — radowałem się, odczytując to, co mnie doszło, radowałem z rzetelnym zamiłowaniem Twych trudów". Wspomnimy wreszcie W. Al. Maciejowskiego, który obok Lelewela uchodził za największą wówczas powagę naukową; — ten się wprost zakochał w Bartoszewiczu, zabierał go ze sobą na wieś, pomagał mu w poszukiwaniach, wszystkie swoje zbiory oddawał mu na usługi i otaczał go na każdym kroku prawie ojcowską opieką.

W parze z tem uznaniem ludzi stojących na czele nauki, szły i odznaczenia naukowe. W czasie, o którym piszemy, został Bartoszewicz mianowany członkiem: Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Towarzystwa Naukowego krakowskiego i wileńskiej komisyi archeologicznej i Muzeum starożytności. Redakcya „Biblioteki warszawskiej", która stanowiła kadry mającego się zawiązać Towarzystwa Naukowego, powołała go naprzód na wice-prezesa, a potem przewodniczącego wydziału historycznego.

Radosna także była dla niego wiadomość, że z Aleks. Przeździeckim został jednym z dwóch opiekunów mającej powstać wielkiej instytucyi naukowej imienia Swidzińskich. Nie spodziewał się, że to odznaczenie będzie dla niego nietylko na razie powodem przykrości, lecz i później przyczyną jednego z najboleśniejszych zawodów. Nie mamy miejsca na szczegółowe przedstawienie tej sprawy, która niegdyś interesowała i oburzała cały ogół inteligentny. Poprzestaniemy więc na krótkiem jej przypomnieniu. Konstanty Swidziński zapisał dobra swoje sulgostowskie margrabiemu Wielopolskiemu pod warunkiem, aby ze wspaniałych jego zbiorów bibliotecznych i archiwalnych utworzył instytucyę nakształt Muzeum Ossolińskich. Chciał, aby Muzeum jego imienia powstało w Warszawie, lub, gdyby to być nie mogło, w Sulgostowie, i aby wydawało drukiem materyały historyczne. Do urządzenia Muzeum i do opieki nad niem powoływał mężów głębokiego doświadczenia i nauki Al. Przeździeckiego i Jul. Bartoszewicza. Oprócz testamentu były t. zw. kodycyle, w których zapisodawca wyrażał swoją wolę szczegółowo. Zaklinał w nich Wielopolskiego, aby wolę jego szanował, — boć zapis uczynił dla niego z tego jedynie powodu, że ordynacya Wielopolskich zapewniała fundacyi trwałość. (początkowo miał S. zamiar robić zapis na rzecz ordynatów Zamojskich) Margrabia jeszcze za życia Swidzińskiego zapewniał go, że wykona jego życzenia, ba! że gotów z własnej kieszeni dołożyć co byłoby potrzeba, W liście do Juliana Bartoszewicza „dzieło" Swidzińskiego uważał jako „święte". Ale choć Wielopolski zapis przyjął — kodycylów słuchać nie chciał i spaczył zupenie myśl testatora. Zbiory przeniósł do swego Chrobrza, zrobił je po prostu swoją własnością prywatną, na kuratorów nie zważał. Wystąpili wtedy prawni spadkobiercy, bracia Swidzińskiego. Powstały stąd proces Wielopolski wygrał, bo sąd ściśle się trzymał samego tylko testamentu. Ale sąd ogółu inaczej na rzeczy patrzał i margrabia, wycisnąwszy co się dało z dóbr sulgostowskich, zrzekł się ich na rzecz spadkobierców, którzy zbiory przelali do Biblioteki Krasińskich. Bartoszewicz wraz z Przeździeckim bronili woli testatora, a margrabia obrzucał ich za to obelgami. Wtedy to głównie Wielopolski zdobył sobie swą olbrzymią niepopularność, która stała się grobem jego politycznej działalności w r. 1863.

(C. d. n.)



Most z ludzi w południowej Afryce.

Oblężenie poselstw.

Sprawozdanie posła francuskiego w Pekinie, Pichona.

Od 20 czerwca aż do 14 sierpnia poselstwa były oblegane przez wojska chińskie i miały bez przerwy do czynienia z pożarami, ogniem karabinowym i armatnim oraz z podziemnemi minami. Eskorta, broniąca poselstw składała się zaledwo z 409 ludzi z oficerami włącznie, do których doliczyć należy około 80 ochotników, uzbrojonych w karabiny wszelakich systemów albo też w zwykłe dubeltówki. Artylerya poselstw liczyła jednę włoską 37-milimetrową armatę, działo Maxima, jednę mitralieżę austryacką i jednę amerykańską. Żołnierze włoscy, japońscy i rosyjscy zaopatrzeni byli bardzo skąpo w amunicyę.

Naprzeciw tej szczupłej garstce cudzoziemców stało 5-6000 wojska chińskiego, uzbrojonego w karabiny mauserowskie lub też w manlichery, rozporządzającego silną artyleryą i olbrzymimi zapasami amunicyi. Regularnej armii chińskiej stanęło prócz tego do pomocy tyle bokserów, że ani dziesiątej części nie można było zużytkować. Wszystkie arsenały i magazyny stały otworem przed atakującymi, rząd chiński byłby im chętnie

udzielił wszelkiej pomocy, gdyby jej przypadkiem potrzebowali. Nie potrzebując oszczędzać kul i prochu, Chińczycy zasypali poselstwa prawdziwą ulewą ołowiu i stali; przeszło 3.500 granatów i kilka milionów patron karabinowych zużyły wojska rządowe w przeciągu niespełna dwóch miesięcy.

Każdy zapyta się odrazu, w jaki sposób oblężeni wytrzymać mogli tak długie oblężenie. Na ocalenie ich przed nieuchronną i okrutną rzezią złożył się cały szereg nieprzewidzianych okoliczności, tak że życie swe cudzoziemcy przypisać muszą cudowi lub dziwnie przyjaznemu losowi.

debatowano już na serjo, poselstwo angielskie byłoby upadło w przeciągu dwóch tygodni.

Gdybyśmy zaraz na początku oblężenia nie byli odkryli w opuszczonych domach składów ryżu i zboża, żeby przez dwa miesiące wyżywić 900 cudzoziemców i 2.400 chrześcian chińskich, byłby nas głód wydał w ręce oblegających. Gdyby Chińczycy, miasto wysyłać do Tientsinu najlepszych swych artylerzystów, zatrzymali byli w Pekinie kilku dobrych wizerów, nie bylibyśmy w stanie oprzeć się ustawicznej kanonadzie. Gdybyśmy, począwszy od 17 lipca, nie byli skorzystali z chwilowego zawieszenia broni, straty, jakie-wybuch kosztowałby nas ze 100 ludzi i byłby otworzył Chińczykom drogę do schroniska kobiet i dzieci. Taką samą minę wykopano pod barykadą rosyskoj-amerykańską i lada chwila miano wysadzić w powietrze poselstwo francuskie.

Nasze ocalenie zależało więc od szeregu wypadków, które nie dadzą się wytłómaczyć żadną kombinacyą logiczną ani racyonalnym biegiem rzeczy. Dodaję, że pora roku, która mogła poważnie przeszkodzić pochodowi armii, wysłanej nam ku pomocy, tym razem szczególnie nam sprzyjała. Zamiast zwykłych deszczów lipcowych, mieliśmy temperaturę

przeważnie do narodowości japońskiej, angielskiej i rosyjskiej. My straciliśmy 3 Francuzów: kapitana pieszej marynarki Labrousse, który przypadkiem będąc w podróży wstąpił natenczas do stolicy Chin; p. Wagnera, syna byłego naszego konsula w Szangaju, który należał do dyrekcyi akcyzy i p. Gruiutjensa, tłómacza na kolei Hankau-Pekin. W końcu mieliśmy w katedrze Pejtang 30 marynarzy i 1 oficera. Z tych 5 padło trupem, 9 zaś odniosło rany. Włosi pozostawili w klasztorze zakonnic 10 marynarzy i 1 oficera: z tych 6 zginęło, 3 zaś wskutek ran stało się niezdolnymi do walki.

Wybory w Anglii.



Wypełnianie kartek wyborczych.

Gdyby 20 czerwca ciało dypłomatyczne było wykonało powzięty już zamiar udania się in gremio do czungliyamenu, żaden z członków jego nie byłby uniknął śmierci a w najlepszym wypadku gęstego gradu kul. Przypadek zrządził, że tylko poseł niemiecki udał się na audyencyę, o którą sam był prosił; i został zamordowany. Gdyby 22 czerwca Francuzi, Niemcy, Amerykanie i Rosyanie byli opuścili swoje poselstwa lub gdyby byli w kilka dni później dokonali ewakuacyi, nad czem byśmy w tym czasie byli ponieśli, licząc według cyfry rannych i zabitych poprzednio, byłyby stopiły naszą garstkę do zera. Prócz tego byłoby nam zabrakło amunicyi, zanim nadeszły wojska europejskie.

Gdyby armia międzynarodowa, która w dniu 14 sierpnia wkroczyła do stolicy Chin, spóźniła się była o 24 godzin, prawdopodobnie nie byłaby nas zastała przy życiu. Chińczycy wykopali pod angielskiem poselstwem minę długości 54 metrów, której

Z wojny chińskiej.



Ulic… w Szanghaju.

suchą, niewysoką, z wyjątkiem chyba kilku burz odświeżających powietrze. Wszystko to ułatwiło armii sprzymierzonej pochód na Pekin, skąd Chińczycy byliby uciekli już dawniej, gdyby tylko zobaczyli naszą artyleryę.

Muszę dodać, że interwencya Japończyków przydała się nam nadzwyczajnie; oni tylko, znając Chiny i Chińczyków, mogli udzielić wojskom sprzymierzonym jak najdokładniejszych informacyj; oni podczas oblężenia potrafili wysłać kilku gońców do Tientsinu, celem zawiadomienia konsulów o naszem rozpaczliwem położeniu; oni, nie czekając na posiłki, po bitwie pod Pejtsang, w której tak świetnie odznaczyli się żołnierze francuscy, przyspieszyli już i tak nie powolny marsz wojsk międzynarodowych. Oni to na czele wszyskich przy pomocy oddziału włoskiego oraz marynarzy francuskich i angielskich, rzucili się na Chińczyków celem wyratowania kilku tysięcy oblężonych chrześcian. Katedry chrześciańskiej w Pekinie bronili Japończycy z niesłychaną może w dziejach zawziętością.

Interesującem zapewne będzie porównanie strat, poniesionych przez pojedyńcze oddziały, broniące poselstw pekińskich:

Żołnierzy (razem z oficerami)			zabitych	rannych
Na 82	Anglicy	mieli	3	19
„ 87	Rosyanie	„	4	19
„ 58	Amerykanie	„	7	10
„ 51	Niemcy	„	12	15
„ 48	Francuzi	„	11	22
„ 35	Austryacy	„	4	11
„ 29	Włosi	„	7	12
„ 25	Japończycy	„	5	20

Do tej cyfry 59 zabitych i 119 rannych dodać należy 12 zabitych i 23 rannych ochotników, co razem czyni 65 zabitych i 142 rannych na 500 mężczyzn, jacy w owym czasie znajdowali się w poselstwach. Owych 35 rannych lub zabitych ochotników należy

Wyjąwszy w katedrze, która nie zawarła zawieszenia broni, olbrzymie te straty w szeregach naszych ponieśliśmy przed 17 lipca. Począwszy od tego dnia straty nasze zmniejszały się z dniem każdym.

Obecna pora nie jest jeszcze stosowną, aby omówić odpowiedzialność za ten straszny dramat, okryty jeszcze tylu tajemnicami. Można już jednak na pewno stwierdzić, że główne role odegrały w nim trzy osobistości, których nazwiska na zawsze pozostaną pamiętne i których spotkać musi bardzo surowa kara. Są nimi: ks. Tuan, ojciec następcy tronu Chińskiego, jenerał Tungfusyang komendant wojsk w prowincyi Kansu, znany ze swej nienawiści przeciw Europejczykom, w końcu wielki sekretarz stanu Kangyi. Poza tymi menerami pierwszego rzędu stoi jeszcze cały szereg osobistości mniej znaczących, jak np. Lipingheng, były gubernator Szantungu, ks. Lan, brat Tuana i ks. Czaung, któremu wyznaczono rolę rekrutowania i kierowania bokserami.

Akcya tego tryumwiratu, utworzonego przez Tuana, Tungfusyanga i Kangya wpływała z naciskiem dyktatoryalnym na cesarzową, której czynów nie zamierzam ani tłómaczyć, ani też osłabiać ich znaczenia, która jednak pod pressyą tych trzech ludzi stała się marnem narzędziem w rękach fanatyków. Można śmiało powiedzieć, że Pekinem od 20 czerwca aż do 15 sierpnia rządzili oficyalnie bokserzy, którzy w mieście dopuszali się najgorszych rozbojów, kradnąc, rabując, podpalając, mordując chrześcian albo innych spokojnych obywateli, którzy nie chcieli brać udziału w ich orgiach, ani też nie mieli intencyi im się opłacać. Wszystko to działo się wśród bezprzykładnej anarchii, rozbójnicy strzelali jedni do drugich, rozpruwali sobie a brzuchy, żołnierze walczyli między sobą o najlepszą zdobycz.

Wzięcie Tientsinu i klęski poniesione pod Peitsang oraz w drodze do Pekinu, zdemoralizowały wojsko do reszty i rzuciły niepokój wśród otoczenia cesarzowej. Mandarynowie, którzy byli na tyle naiwni, że święcie wierzyli w zwycięstw o Chin nad mocarstwami, popadali w zwątpienie. Czynniki umiarkowane z ks. Czingiem i centrum z Junglu na czele usiłowały reagować przeciw szaleństwom tryumwiratu, które postawiły cesarstwo nad przepaścią. Ale odwaga nie jest przymiotem mandarynów chińskich, to też nawet ci, którzy rozumieli niebezpieczeństwo, nie ośmielili się poczynić żadnych kroków, ażeby je zażegnać. Zatrzymali się w pół drogi, woląc mieć ręce skrwawione i pozostawić poselstwa ich losowi, aniżeli narazić się osobiście szaleńcom, których słuchała cesarzowa.

Mieli zresztą przed oczami straszne przykłady okrucieństwa rewolucyonistów: Czterech członków Czungliamenu i jeden z ministrów cesarskich zostali kilka dni przed wejściem naszych wojsk ścięci, na miejscu, gdzie padają głowy zwykłych zbrodniarzy. Między ofiarami barbarzyńskich instynktów tryumwiratu Juukingczing i Sujungyi dopuścili się tej zbrodni, że kazali kupić trumnę dla posła niemieckiego Kettelera, zamordowanego na wyraźny rozkaz Tungfusyanga. Trzej inni oskarżeni byli o oziębłość w mordowaniu cudzoziemców.

Potulność, z jaką cesarzowa zgadzała się na te repressalia, odstraszała innych. To nadało właśnie zawieszeniu broni charakter niepewny i dwuznaczny. aczkolwiek ono tylko pozwoliło nam doczekać się kolumny dążącej z odsieczą Stąd też pochodziły wielkie walki między różnemi wpływowemi partyami, które odczuwaliśmy na sobie przez silniejsze lub słabsze ataki oblegających. Stosownie do tego czy ks. Tuan i jego akolici czuli się mniej lub więcej na siłach, albo czy ks. Czing lub Junglu zdobywali odrobinę wpływu, ataki i kanonada były silniejsze, lub słabsze. Te właśnie alternatywy między stałością a wahaniem się udaremniły zamiar rządu, który rozkazał wymordować w stolicy wszystkich cudzoziemców, przedewszystkiem zaś członków ciała dyplomatycznego, nie oszczędzając ani kobiet ani dzieci.

(C. d. n.)



Mac-Kinley, powtórnie obrany prezydent Stanów Zjednoczonych.

Z pogadanek o teatrze.

Łaskawym czytelniczkom i szanownym czytelnikom „Głosu literackiego", dłużny jestem sprawozdania, aż z trzech premier: ze „Sprawy", „Kłamczyni" i „Damskiego komornika". Po każdej z nich umieszczaliśmy zawsze w „Głosie narodu" krótką wzmiankę. Zestawieniem tych trzech sztuk w jednem sprawozdaniu, chciałbym wzbudzić tam, gdzie należy, przekonanie, że ciągle, całemi miesiącami nie powinno się karmić publiczność, albo lichotami literackiemi, albo też sztukami, które wybiera się dla jednej lub dwóch osób w personalu, skazując wszystkich innych artystów na przykrą funkcyę... przystawek. Wyrządza się przez to i tym „wybranym" szkodę, choćby tę, że widywani zbyt często i w różnych najsprzeczniejszych rolach, „przejadają się" publiczności. Wszak z teatru chcemy nie tylko wynosić przekonanie, że ta pani lub ów pan dobrze grali, ale także estetyczne zadowolenie, zaczerpnięte z piękna literackiego lub idei przedstawianej sztuki.

„Odrodzenie" było może jedynym jasnym punktem w tym sezonie, po niem przyszła „Sprawa", sztuka w 5 aktach Suchowa-Kobylina, przełożona z rosyjskiego przez artystę naszego teatru p. Popławskiego, którą odegrano dnia 3. listopada. Tłem i treścią tej przestarzałej formą „sztuki", popadającej często w melodramat, jest łapownictwo rosyjskich czynowników, znane już dobrze z całego szeregu komedyj i dramatów rosyjskich. Łapownictwo to w „Sprawie", oświetlone jaskrawemi a ponuremi barwami, wzięte, *sit venia verbo*, na bardzo wysokiego dramatycznego konia, nuży i męczy widza tembardziej, że autor nie cofnął się ani razu przed przesadą lub nieprawdopodobieństwem. Wskutek tego sceny dramatyczne stały się raczej przykremi i drastycznemi, a ofiary łapownictwa wzbudzają tylko politowanie jako widome niedołęgi, niż współczucie, jako ludzie znoszący ciężkie przeciwności losu. Krótko mówiąc, autor nie zdołał znaleźć i utrzymać tego, co określać zwykliśmy słowami „nastrój dramatyczny", a co jest właśnie rzeczą talentu i warunkiem wartości sztuki. Mamy zatem majętnego i zacnego byłego jenerała Muromskiego (Popławski), który z siostrą Anną (Wojnowską) i córką Lidą (Ordonówna) żyje sobie szczęśliwie i spokojnie w swojem zaciszu domowem dopóki fatalny wypadek nie rzucił mu na barki... sprawy sądowej.

Narzeczony jego córki Lidyi, o którym tylko mówią w sztuce, poprosił pewnego dnia narzeczoną, aby mu powierzyła jakiś rzadki i piękny brylant rodziny Muromskich, pod pozorem. że go chce komuś pokazać. Lidya bez wahania uczyniła zadość życzeniu narzeczonego, który tymczasem dał zrobić łudząco podobny falsyfikat brylantu, sprzedał ten falsyfikat, czy też go zastawił u jubilera a prawdziwy brylant zwrócił narzeczonej. Wynikło z tego dochodzenie karne a czynownicy wiedząc, że Muromski jest majętny i o dobre imię swego domu dbały, umyślnie kierowali sprawą wten sposób, aby Lidyę Muromską wciągnąć w dochodzenie, karać jako współwinną i na zasadzie formalistycznych ustaw procesowych uczynić ją ofiarą badań i indagacyj a nawet oględzin rzeczoznawców lekarzy (co za pomysł!) z powodu jej stosunku z owym młodym człowiekiem, specyalistą od brylantów. Wszystko w tym celu, aby zmusić Muromskiego do opłacenia się.

Tę akcyę wymiaru sprawiedliwości prowadzi ekselencya Warrawin (Zawadzki) istny wampir-łapownik, nieugięty w żądaniach bajecznych sum za tuszowanie. Ekselencya operuje przy pomocy swego sekretarza Tarełkina (Zelwerowicz), który, zabrnąwszy w długi przez hulaszcze życie, wziął sobie za zasadę swego urzędowania, iść na rękę ekselencyi we wszelkich „pracach", byleby tylko dla siebie samego oszczędzić cokolwiek.

Dokonywa się zatem prosty rozbój. Za ubicie sprawy żąda Warrawin od Muromskiego 25.000 rubli — co równa się ruinie majątkowej starego jenerała. Biedny człowiek nie wierzy aby „sprawa", rozpatrzona należycie, mogła czemkolwiek zagrażać jego ukochanej jedynaczce i honorowi rodziny. Postanawia kołatać do wyższych instancyj, do księcia, do cesarza. Uzyskuje posłuchanie u księcia, który jednak, „będąc po przepiciu" i zajęty trzeźwieniem się za pomocą wody sodowej, słuchać go nie chce i nie może. Przychodzi do burzliwej sceny, która kończy się tem, że książe każe wyprowadzić Muromskiego, poleca jednak sprawę zbadać w drodze ponownego śledztwa kryminalnego. Warrawin czuje że „sprawa" może mu się z rąk wysunąć, podwaja tedy nacisk na Muromskiego; ten w rozpaczy gromadzi nareszcie potrzebną sumę, zapożyczywszy się u swego sługi i sprzedawszy najcenniejsze rodzinne klejnoty. Idzie do Warrawina, składa mu żądaną sumę i odchodzi. Warrawin kradnie znaczną część banknotów, poczem każe napowrót wołać Muromskiego i w obec zebranych czynnowników rzuca mu pod nogi pugilares wołając: „On chciał mnie przekupić". Stary Muromski nie wie co się z nim dzieje; podnosi z ziemi pugilares i przekonywa się, że pieniądze znikły... Bezsilny pada na kanapę... Na tę scenę, jak deus ex machina, wchodzi „bardzo wysoka figura" sam najjaśniejszy pan, aby skonstatować z zadowoleniem, że ma uczciwych i porządnych urzędników... Muromski umiera, Warrawin z łupem i pochwałą „wysokiej figury" idzie spokojnie do domu pozostawiając w rozpaczy swego sekretarza Tarełkina, któremu mimo jego błagań, gróźb i zaklęć nie dał nawet powąchać obfitej zdobyczy.

Treść ta, przepleciona licznemi epizodami, z których najlepszym może jest scena w kancelaryi ekscelencyi, przesuwa się dość leniwo przed oczyma widza. Wszystkie postacie mówią dużo, monologują po staremu, myślą głośno „na stronie" i t. d. Postać Muromskiego, który od początku do końca jest biednym kozłem ofiarnym biurokratycznych hyen, nuży i męczy. Warrawin i Tarełkin budzą niesmak, prawie wstręt. Szczęściem dla tej sztuki, jest ona oparta na fabule zaczerpniętej z pewnych określonych prawie lokalnych stosunków; dzięki temu wiele rzeczy przypisuje się na „słowo autora" i puszcza mimo uszu bezkrytycznie.

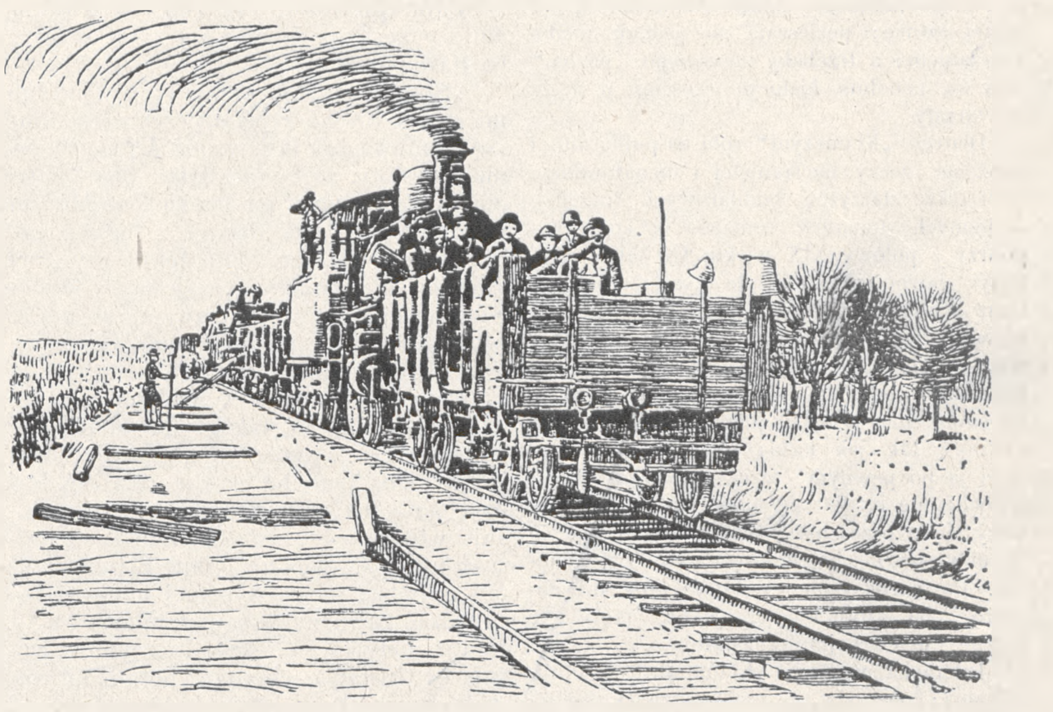
Artyści grali doskonale; przepyszny typ demonicznego łapownika stworzył p. Zawadzki. Warrawin w jego interpretacyi był prawdziwem *monstrum hominis*, dla którego po dawno minionej młodości nie istnieje już żaden powab na świecie prócz pieniędzy, do których dąży nie wstrzymywany nawet najdalszem wspomnieniem jakiejkolwiek etyki. Trudną rolę Muromskiego grał pan Popławski z właściwem temu artyście przejęciem się i zrozumieniem. Scena posłuchania u księcia zagraną była po mistrzowsku. P. Zelwerowicz grał dobrze Tarełkina, aczkolwiek pewna niejednolitość w interpretacyi dowodziła, że młody artysta nie miał wielkiego do tej roli przekonania. Dlaczego pan Jednowski jako książe tak bardzo się gniewał trudno zrozumieć; czyżby ten zdolny artysta nie miał już innych środków do scharakteryzowania takiego utytułowanego gruboskórca? Panie Wojnowska i Ordonówna nie miały żadnego pola do popisu. Całość szła składnie. Z powodu „Sprawy" pytanie retoryczne do reżyseryi: czy nie monżaby w interesie powagi teatru i artystów znieść, starego wprawdzie ale nieumotywowanego przyzwyczajenia, żeby artyści po brawach w środku sztuki, a zwłaszcza po scenach dramatycznych, nie wracali na scenę, celem złożenia ukłonu puliczności? Przecież czasem szkoda tego nastroju, jaki wywołuje szlachetna i artystyczna gra.

Treść „Kłamczyni" Daudet'a, odegranej po raz pierwszy dnia 10 listopada br., podaliśmy w ogólnych zarysach w krótkiej wzmiance kronikarskiej. Kobieta z burzliwą przeszłością znajduje człowieka, który jej wierzy i ją kocha. Pokochała go także, ale, aby ratować jego dobrą wiarę musi kłamać. Kłamstwa omotują ją w końcu do tego stopnia, że musi zginąć. Oto treść cała.

Zagadnienie czy sztuka i literatura ma być tendencyjną czy nie, wyczerpało już tyle mózgownic, spowodowało taką powódź rozpraw, druków, dzieł, że na ten temat już chyba niczego nowego powiedzieć nie można. Mimo to pozostało ono zawsze jedną z tych kwestyj nierozstrzygniętych, jakich mnóstwo błąka się między naszemi dziwnemi teoryami. Dlaczego? Rzecz prosta. Wszelka twórczość literacka czy artystyczna jest odbiciem życia rzeczywistego, albo wyrazem stanów duszy przeżytych lub odczutych przez twórcę dzieła; najczęściej też, powiązaniem obudwu tych dziedzin; one zaś z teoryami, z prawidłami, z regułą, z przepisem, które z takim bezwzględnym uporem stwarzamy, dążąc bezwiednie do szablonu, nie mają nic wspólnego.

W przyrodzie i w życiu ludzkiem, zróżniczkowanem na tysiące i miljony na pozór od siebie różnych objawów, jest niezawodnie jakaś, wszystkie te objawy w jedno łącząca moc, którą nazywaliśmy już różnie: i fatalnością i determinizmem, wolą wszechświata i „sumą chcenia" wszystkich tworów, celowością i harmonią. Te wszystkie nazwy i definicye, usiłujące wytłómaczyć ideę zjawisk życia, które, sprzeczne ze sobą, składają się przecież razem na ideę porządku i prawo przyczyn i skutków, dowodzą jedynie tego, że ludzkość stoi w pośród morza zagadnień i niepewności, które napróżno dla swego uspokojenia rozwiązać usiłuje. W każdej ludzkiej piersi, poza owym znanym w filozofii „progiem świadomości" mieszkają myśli, które zbudzone niespodziewanie, zadziwiają świat swoją nowością lub paradoksalnością. Doznajemy wtedy uczucia lęku czy niepokoju, usiłujemy je tłómaczyć, sądzimy i odsądzamy. Najczęściej też niczego nowego nie znajdujemy, nikogo nie przekonywamy a niepokój wywołany milczącem zagadnieniem, usuwa najczęściej sam wpływ czasu lub też nowe, inne nieoczekiwane zdarzenie. Tak dzieje się w życiu jednostek, tak samo w życiu ludzkości. I jak wśród ludzi, jedni wobec nowego zjawiska stoją zdumieni albo je tylko opowiadają wedle własnych spostrzeżeń, drudzy zaś analizują je i tłómaczą, tak samo i pisarze i artyści dzielą się na obserwatorów i problemistów: jedni tylko przedstawiają, drudzy wykładają i tłómaczą. Pierwsi często zadziwiają wiernością swoich odtworzeń, drudzy przekonywują zwykle tylko tych widzów lub czytelników, którzy chwilowo znajdują się pod tem samem wrażeniem, pod jakiem zostawał autor, tłómacząc ideę zdarzeń swojego dzieła. Stąd też sztuki, poezye i powieści tendencyjne, bywają najczęściej nudne jak mowy prokuratorów. Z drugiej jednak strony, czyż indywidualność w sztuce nie jest po części tendencyjnością? Czy podobna, żeby artysta tworząc przestał być sobą i ustrzegł swoje dzieło przed własnem „ja", przed swojemi uczuciami wstrętów lub sympatyj? Nawet boskiemu Homerowi to się nie udało.

Z wojny chińskiej.



Opancerzony pociąg na linii Pekin—Tientsin.

Pozostawmy zatem i nadal tę kwestyę w sferze jej żywotnej zresztą nierozwiązalności a przejdźmy do szczegółu: do zagadnienia, które jest treścią „Kłamczyni“. Zagadnienie. to należy do szeregu nierozstrzygniętych pytań naszego życia, jest jedną z tajemnic ludzkiego serca a zarazem problemem walki między etyką i prawdą z jednej a gorącem pragnieniem każdej duszy za własnem szczęściem z drugiej strony. Autor rozwiązał zagadnienie na korzyść bezwzględnej prawdy, wskutek czego stworzył sztukę tendencyjną. Mam to przekonanie, że wiele kobiet, wychodząc w sobotę z teatru, myślało: tak jest, ta kobieta powinna była mówić prawdę; to uratowałoby jej życie. Gdy jednak narzuciła się każdej ze słuchaczek myśl: co ty sama uczyniłabyś znajdując się (broń Boże) w podobnem położeniu — wówczas niezawodnie wszystkie o „zagadnieniu“ myśleć przestały.

„Pocóż się nad tem zastanawiać, skoro mnie coś podobnego przytrafić się nie może“? I dla uspokojenia mówiło się np.: „jak to dobrze, że się przedstawienie skończyło przed dziesiątą“, albo „mężusiu, gdzie idziemy na kolacyę“? Wątpię czy bodaj w jednym domu, pod wpływem refleksyi z sobotniej premiery było „piekło“. „Kłamczyni“ nikogo pewnie nie umoralniła, gdyż często byłaby to musztarda po obiedzie, albo też, efekt wręcz przeciwny, nikogo nie przekonała, bo zasadę obowiązku mówienia prawdy obok potrzeby kłamania *czasem* prawie wszyscy uznają.

Kłamczyni, patrząc od początku na swego męża zachwyt i egzaltacyę, dostrajała się do jego wyobrażeń o niej samej i o przyszłem ich szczęściu. Czyż mogła powiedzieć mu wtedy: Słuchaj, byłam kochanką tylu a tylu różnych ludzi, od których w moim puzderku z kosztownościami są liczne pamiątki; oddawałam się różnym wielbicielom z pobudek mniej szlachetnych niż sam zapał, egzaltacya, nerwy, fantazya. Wszak ona także teraz naprawdę pokochała, może wreszcie zapragnęła już spokoju po burzy. W tym stanie duszy przyznać się do win wobec ukochanego, chyba nie mogła...

Czy mogła to uczynić później? Oto pytanie. Gdy dawny kochanek zmuszał ją groźbą wyjawienia mężowi tajemnicy przeszłości, do tego, aby będąc już żoną, wbrew swojej woli, została jego metresą, co powinna była uczynić? Czy kryć przed mężem swój dawny wstyd za cenę dzisiejszego upokorzenia, czy wyznać mu prawdę, narażając na rozbicie własne szczęście?... Czy można w tym wypadku postawić jakąś poradę lub regułę, a postawiwszy, czy podobna uwierzyć że ludzie do niej się zastosują?...

„Kłamczyni“ budzi w widzach pewne współczucie, bo kłamie dla celu etycznego, kłamie, aby utrzymać dobrą wiarę człowieka, którego naprawdę kocha. Ubolewa się chyba nad tem, że choćby nie wiem jaką ofiarą nie udało się jej utrzymać tej dobrej wiary męża.

Przyczyną tego jest fatalny zbieg okoliczności, „urządzony“ przez autora; w życiu podobny wypadek wyglądałby na bardzo wyjątkowy. I dlatego nikt w audytoryum, ani mężowie, ani żony, patrząc na kłamczynię, nie doznają niepokoju takiego, jaki spodziewał się wywołać autor. Jeżeli czego się lękają, to takiego fatalnego zbiegu okoliczności, jak w tej sztuce; pocieszają się jednak niedowierzaniem: a trzebaby strasznego „pecha,“ żeby się podobne historye częściej w życiu powtarzały.

Dlatego „Kłamczyni“ robi na publiczności wrażenie rzeczy naciągniętej i nienaturalnej; trąci także starzyzną buduarowych tragedyj, ulubionych tematów romanso i .komedyopisarzy z połowy XIX wieku. Od takich tragedyj dawno już odbiegło życie; o ile się teraz czasem zdarzają, kończą się zwykle mniej strasznie: rozwodem. Bo też miłość romantyczna, która dawnym książkowym bohaterom wypełniała całe życie i była chorobą śmiertelną, straciła już dziś swoją intenzywność tak jak każda choroba nagminna traci ją po pewnym czasie. Dzisiejsza Marya Deloche nie otruje się a jej mąż, dowiedziawszy się o przeszłości swojej żony także się nie obwiesi, o ile oboje nie będą psychicznie chorzy. Po paroksyzmie wstaną oboje do nowego życia, które i potem jeszcze może być piękne lub co najmniej zajmujące.

Literacka wartość „Kłamczyni“ jest minimalna; nie dziw, że nie utrzymała się na repertoarze. Rolę tytułową grała p. Siemaszkowa, z zmiennem szczęściem męża jej grał p. Sosnowski. Wybór sztuki i tym razem nie był szczęśliwy. To też już na drugiem przedstawieniu było w teatrze przestronnie.

* * *

Zapewne dla pokrzepienia widzów, znużonych „głębokiemi problemami“ „Sprawy“ i „Kłamczyni“ ukazano nam 17 listopady „Damskiego komornika“ farsę Sylwaina a Artusa. Cel i tym razem został chybiony mimo, że artyści z heroizmem trwali w swych rolach. „Damski komornik“ należy do sztuk, które niezliczone razy bywają grywane w podrzędnych stołecznych teatrzykach, gdzie idzie się aby zobaczyć coś bardzo „pieprznego“ albo bardzo „naiwnego do śmiechu“. Całe zawikłanie polega na zimnym tuszu, który przypadkiem spada na głowę komornika, przybywającego na akt egzekucyi, “prywatnej“, do pani Cypryanny de Montorburg, oraz na czuprynę adwokata, który ucieka przed pościgiem swojej teściowej. Szkoda było czasu na wystawienie tej roboty. Aby farsa naprawdę zabawiła, potrzeba umieć farsę wybrać.

Na przyszłość mamy zapowiedzianą „Sobótkę“ Sudermanna, „Fausta“ Göthego i „Maryę Stuart“ Słowackiego. To ponętne... Tylko czy nieliczne siły artystyczne naszego teatru wystarczą na te wielkie rzeczy?...

Zobaczymy.

Dr Włodzimierz Lewicki.



Engelbert Humperdinck, twórca »Jasia i Małgosi»

W braku gości.

Humoreska z holenderskiego.

„Piotr de X.... zasyła wyrazy ubolewania z powodu, że konieczne zajęcia niepozwalają mu zastosować się do łaskawego zaproszenia państwa van Noordwyk. Chciejcie Szanowni Państwo przyjąć etc“.

Gdy p. van Noordwyk przeczytał przy śniadaniu głośno powyższy bilecik, usłyszał od swej żony co następuje: „Dzisiejsza młodzież jest rzeczywiście nieznośna. Jeden po drugim wymawia się; ten to, tamten owo, ale żaden nie chce przyjść“.

— Ależ duszko, Piotr ma naprawdę dużo zajęcia, sam wiem o tem. Zresztą usprawiedliwia się w jak najgrzeczniejszy sposób... ale, ale, patrzaj no, jeszcze jeden list tutaj leży...

Pani van Noordwyk rozrywa gwałtownie kopertę po to, aby wyczytać w liście co następuje:

„Szanowna i łaskawa Pani! Trudno mi nawet opisać z jaką przykrością muszę odmówić tak łaskawemu Jej zaproszeniu. Niestety, już przed kilku tygodniami obiecałem przybyć na bankiet, w którym wezmą udział moi dawni, z Indyi przybyli znajomi, że zaś data tej uroczystości schodzi się z dniem przyjęcia w domu Szanownej Pani, przeto zjawienie się u Niej będzie dla mnie niemożliwem. Dziękując jeszcze raz za łaskawe etc.“

Pani van Noordwyk westchnęła.

— Więc i on także! To doprawdy straszne. Co ja teraz pocznę? Nie znam już nikogo, kogo by można zaprosić. Będzie o dwóch mężczyzn zamało i to właśnie wtedy, gdy mi się udało zaanektować na jeden wieczór pannę Brinby. Jakżeż ci ludzie mogą w samej haute saison urządzać kawalerskie bankiety! Doprawdy, to już nietylko śmieszne, lecz wprost irytujące! Gustawie, chodźże, poradź mi coś, widzisz przecie w jakim jestem kłopocie!

— Chciałem, abyś się najprzód trochę wygadała, a gdy się to już stało, zakomunikuję ci jeden świetny pomysł! Co byś powiedziała na to, gdybym zaprosił tego najmłodszego subjekta? Wcale miły chłopak. Wprawdzie niema fraka, ale to nic! Przerobi się mój stary...

— Na taki pomysł nikt inny prócz ciebie nie potrafiłby się zdobyć. A cóżby panie na to powiedziały? Ach Boże, gdyby tylko wynaleść jakiś powód do odwołania wieczoru! Tylko w ten sposób można uniknąć kompromitacyi!

— Tylko nie krytykuj moich pomysłów, bo sama na gorsze wpadasz — zaśmiał się p. van Noordwyk. — Któż to dał ci tak mądrą radę, aby zapraszać tyle kobiet, skoro nie wiedziałaś czy zdołasz wynaleść odpowiednią liczbę gości płci męskiej? Wszyscy się skarżą na brak mężczyzn, wszyscy o tem głośno mówią, więc trzeba się było do tego zastosować.

— Łatwo ci teraz gadać, ale czy to co pomoże?

— A więc milczę.

— Chwała Bogu! Przynajmniej będę mogła choć chwilę pomyśleć spokojnie.

Następuje pięciominutowe zawieszenie broni, w czasie którego pan van Noordwyk wchłania dwa jajka na miękko i kilka sandwichów z szynką. Małżonka jego nie bierze nic w usta i drąc oba nieszczęsne listy na drobne kawałki, wygląda przez okno.

Nagle powstaje z krzesła i mówi głośno — może nawet trochę za głośno, jak na szanującą się małżonkę kupca en gros przystało:

— Mam pomysł, wspaniały pomysł: Napisz do twoich wspólników z Brukseli i z Paryża, aby siódmego zjechali się tutaj. Niby to masz im coś ważnego do zakomunikowania. Zatrzyma się ich na wieczór i wszystko będzie dobrze.

— Ależ ja nie mam im nic do zakomunikowania!

— Wielkie rzeczy, coś przecie możesz wynaleść! Cóż mężulku, dobrze?

— Ach prawda, pół do 10-tej, najwyższy czas iść do kantoru...

— Ale napiszesz do nich, prawda?

— Jeszcze pomówimy o tem moje dziecko.

W kilka godzin' później wrócił pan van Noordwyk do domu w znacznie weselszem niż przedtem usposobieniu.

— Teraz już wszystko będzie naprawdę dobrze — woła już zdaleka do żony.

— Przypadkiem wpadł mi w ręce cyrkularz jakiegoś nowego stowarzyszenia, które postawiło sobie za cel dostarczać mężczyzn na zabawy. Posłuchaj tylko!

I pan van Noordwyk czyta co następuje:

Zachęceni powodzeniem jakiego doznało nasze przedsiębiorstwo w ciągu zeszłego roku, oraz w przekonaniu, że obecny sezon zabawowy będzie się odznaczał silnem zapotrzebowaniem odpowiednich mężczyzn, przedkładamy niniejszem Szanownej P. T. Publiczności nasz cyrkularz łącznie z cennikiem. Mamy wielki i bogaty wybór, zapomocą którego jesteśmy w stanie odpowiedzieć wszelkim wymaganiom.

Na razie są następujący goście do rozporządzenia:

1. Młody człowiek, lat 18, doskonale obeznany z wszelkimi grami towarzyskimi etc. Umie prowadzić rozmowę o sporcie kolarskim i lawn-tennisie. W czarnym surducie . . . . 1 fl.
we fraku . . . . 1 fl. 50.

2. Młody człowiek. Lat 24, zna na wylot literaturę współczesną, zwolennik ruchu feministycznego. . . . 2 fl. 50.

3. Uczony, lat 26. Mistyczno-symboliczno-dekadencki wieszcz przyszłości, pełen talentu i nastroju. . . . 3 fl.

4. Malarz, lat 26, bardzo oryginalny, utalentowany bawidamek, posiadający zawsze olbrzymi zapas najświeższych „kawałów.“ . . . . 3 fl. 50.

5. Adonis, lat 30. Mówi niewiele, lecz słucha z wielkiem nabożeństwem. Swietny do ozdoby salonu. . . . 4 fl.

6. Młody człowiek, lat 35. Przeszedł kilkanaście ciężkich operacyi, wprost nieporównany do zabawiania pań słabego zdrowia, lub chcących się poświęcić pielęgnowaniu chorych. . . . . 3 fl. 50.

7. Specyalista salonowiec!! lat 36, wegetaryanin. . . . . . . 2 fl. 50.

8. Dymisyonowany oficer, lat 40, odbywał dalekie podróże, bardzo miły *causeur*, cieszy się olbrzymiem powodzeniem u dam między 30—40 rokiem życia, wielce rozmowny. . . . . 3 fl.

9. Niemiecki baron, lat 45 gastronom, wielce poszukiwany za sąsiada przy stole dla podeszłych dam. Mówi płynnie kilkoma językami. . . . . . . 5 fl.

Powyższe ceny są obliczone na obiad trwający od 3—5 godzin. Każda następna godzina kosztuje 0·50 fl. Bale liczą się podwójnie.

Do cen jest już wliczone piękne ubranie wizytowe, elegancki paltot i chapeau-claque. Nr. 8 i 9 otrzymują wrazie mrozu wspaniałe futra.

Nr. 5, 8 i 9 muszą być zawsze zabierane i odwożone powozem. Nr. 2, 3, 4, 6 i 7 używają ekwipażu tylko wrazie deszczu. Za powóz liczy się osobno 2 fl.

Nr. 2 do 9 dają zawsze napiwek służbie, za co przedsiębiorstwo liczy sobie 1 fl.

2, 3, 4, 5 i 8 wybornie tańczą. Wrazie gdy mają być użyci w charakterze danserów, taksa za lakierki i rękawiczki wynosi po 2 fl. od sztuki.

Nr. 2, 4, 6 i 7 grają na fortepianie. Nr. 4 śpiewa.

Nr. 5, 8 i 9 mogą być na żądanie dostarczone z trzema zagranicznymi orderami. Kosztuje to 2 fl. więcej.

Nr. 2, 3, 6, 8 i 9 mogą za poprzedniem zamówieniem oraz opłatą 1 fl. wygłosić toast.

Nr. 2, 3, 6, 7, 8 i 9 mogą na żądanie prowadzić rozmowę o współczesnej literaturze i sztuce. Cena fl. 2·50.

Prosimy jak najuprzejmiej nie uiszczać zapłaty pod żadnym warunkiem do rąk samych gości.

Wszelkie zażalenia należy przesyłać pod adresem dyrekcyi w zamkniętych kopertach.

Wreszcie za wszystkich przez nas dostarczonych gości przyjmujemy jak najściślejszą gwarancyą pod każdym względem. Dyskrekcya „zapewniona“.

— Pysznie! Wspaniale! — zawołała pani van Noordwyk. — Co za wybór! Kogo wziąć? — Przedewszystkiem musimy się postarać o niemieckiego barona — zaczął uszczęśliwiony małżonek. — Będzie to świetne peudant do owdowiałej margrabiny. Potem — potem naturalnie Adonis! Pomyśl tylko jak wspaniale będzie wyglądał między dwiema młodymi hrabiankami!

— No, tak, ale mówi mało, jak to zaznaczono w spisie.

— Cóż stąd? Przecież te dwie będą gadały i za niego i za siebie! Zagadają go na śmierć jeśli im się spodoba.

— Ja bym znowu głosował za Nrem 2, który umie rozmawiać o literaturze współczesnej. To by było coś dla panienek.

— To weź go zamiast barona.

— Nie, barona nie odstąpię za nic w świecie. Chcę go obstalować z futrem i z orderami. — A ja muszę mieć swego Adonisa.... Słuchaj, a może ów attaché dyplomatyczny którym tak pyszniła się pani Du Pré zeszłego tygodnia również pochodzi z tego składu?

— Kto wie? Bardzo możliwe!

— No, gdy ci nasi będą podobni do niego, to jestem w siódmem niebie.

— Ale, ale! Może ci panowie są już zamówieni?

— Prawda! Idźże prędzej do telefonu!

Pan van Noordwyk wylatuje z pokoju na kształt bomby i wraca po chwili.

— Baron i Adonis już zamówieni! Cała lista wysprzedana, ale Nr. 1, 2, 3, 4, 6 i 8 są na składzie w kilku egzemplarzach, więc zamówiłem Nr. 2 i 8.

Szanowni małżonkowie uśmiechnęli się z niepomiernem zadowoleniem. Na dzień przed przyjęciem Nr. 5 był również przypadkowo do wynajęcia, więc pani van Noordwyk dostała swego Adonisa. Skutkiem tego radość jej doszła do zenitu.

* * *

Wspaniały zegar w salonie państwa van Noordwyk wskazywał $^1/_2$ do 11-tej wieczorem. Ostatni goście wyjechali przed chwilą, został tylko Fryderyk Para, przyjaciel domu, aby, jak zwykle, zagrać sobie z panem van Noordwyk partyjkę karambola.

— Pani Janino, moje najszczersze gratulacye — odezwał się Fryderyk do promieniejącej pani van Noordwyk.

W głosie jego przebijała się ironia. lecz pani Janina wzięła te słowa za dobrą monetę.

— Prawda, że wszystko poszło doskonale? — zapytała. — Cóż to za śliczny mężczyzna z tego Lacraze'a; ten drugi... zapomniałam jak się nazywa.... skończony gentleman. Czyż pan widział jak emablował hrabianki? Margrabina była nim zachwycona, choć zdradzała pewne niezadowolenie, jak się zdaje dlatego, iż nie prosił jej o pozwolenie złożenia wizyty. A tobie, mężulku, jak się podobali nasi nowi goście?

— Tak, tak, dosyć. — Dymisyonowany oficer bardzo porządny, ale ten twój Adonis razem ze swoimi kiepskimi dowcipami i błaznowaniem był wprost niemożliwy. Nie należy to wcale do przyjemności, że taki gość, którego się wynajmuje.... to, co ja mówię, którego się zaprasza na obiad, kpinkuje sobie z człowieka.

— Tak, a w dodatku koncepty jego nie zawsze były comme il faut.

— Na miłość boską! — zawołała pani van Noordwyk. — Czy podobna? Ależ prezentował się bardzo porządnie. Jego rozmowa z hrabiankami....

— O najnowszych fryzurach — dodał Fryderyk. — Ten dział literatury jest mu dobrze znajomy. Chcecie, to wam powiem. Pan Lacraza jest.... no, jesteśmy zresztą między sobą, nie prawda?... jest — fryzyerem!

— Sam przecież mówiłeś do mnie, gdym ci go przedstawiał, że znasz go z klubu!

— Prawda, ale powiedziałem to ze względu na innych, którzy byli przy tem. Czyż nie zauważyłeś jak się zmięszał zobaczywszy mnie w gronie gości? Tak jest, poznałem go w klubie toaletowym gdzie mnie często strzygł, golił i fryzował.

— Fe! — zawołała pani van Noordwyk. Obdzierasz mnie pan z najpiękniejszych złudzeń! To było nasze ostatnie przyjęcie, pamiętaj mężulku, ostatnie! Zrywam ze światem.

— A ja — dodał Fryderyk — ustanawiam dla siebie stosowną taryfę. Przecież nie mogę za darmo narażać na szwank swoich organów trawienia, wchłaniając przez cały sezon wszystkie obiady u znajomych przyjaciół i krewnych w linii wstępnej, zstępnej i kilku pobocznych! Gustawie! Kwarta odwrotna z białej na czerwoną!

Pan van Noordwyk przegrał tego wieczora 7 partyj z rzędu.

Nasze ryciny.

Niespełna za trzy tygodnie rozpoczną się pierwsze wybory w Galicyi. W dzisiejszym numerze znajdą czytelnicy wizerunki pierwszych antysemickich posłów w Galicyi. Są nimi Dr. Michał Danielak, kandydat na V kuryę nowosądecką, Franciszek Ptak, gospodarz z Bieńczyc, kontrkandydat socyalisty Daszyńskiego w V kuryi krakowskiej i Franciszek Wojtyga, nauczyciel w Półwsiu Zwierzynieckiem, ubiegający się o mandat z IV kuryi krakowskiej. W następnym numerze podamy wizerunek ks. Andrzeja Szpondra, ubiegającego się o mandat z IV kuryi okręgu wyborczego Wadowice-Bochnia oraz sympatycznych nam kandydatów: ks. Żygulińskiego (V kurya tarnowska) i Edmunda Zieleniewskiego (Kraków, kurya miejska). Rzecz naturalna, iż sztandar antysemityzmu pod którym wyżwymienieni 4 kandydaci spieszą do walki wyborczej, jest celem licznych pocisków podających zarówno z żydowskiej, jak niestety i nieżydowskiej strony. Ale wiara w zdrowe instynkta naszego społeczeństwa wraz z silnem przeświadczeniem, że walczą za dobrą i godziwą sprawę, pozwoli im przejść sucho nogą przez błoto wyborcze. A walka będzie szła nie żarty! Sądząc z dzisiejszego zainteresowania się wyborami, z przebiegu dotychczasowej akcyi i z energii rozwijanej przez poszczególne stronnictwa, musimy dojść do przekonania, że Galicya stoi w przede dniu wielkich wypadków, jeśli już nie w politycznem, to zwykłem, potocznem znaczeniu. Rozbijanie łbów przy walce o kartki wyborcze i agitatowanie za pomocą kija z pewnością przyczynią się do tego, że „wypadki“ będą wielkie...

Jakże inaczej dzieje się w Anglii! Z ryciny, zamieszczonej w dzisiejszym numerze mogą czytelnicy nabrać niejakiego pojęcia o spokoju i porządku panującym przy angielskich wyborach. Mimo tłumów głosujących, straż bezpieczeństwa ogranicza się do jednego konstabla, który *nb.* nigdy nie interweniuje. Wyborcy wypełniają swoje kartki, w osobno na ten cel urządzonych przegródkach i wkładają je do urny, nie napastowani przez nikogo, nie oglądając się ani na bagnety żandarmskie, ani też na pięści „towarzyszów“, lub „święconą kredę i kije“ ojca Stojałowskiego... Spokojnie wybrany parlament obraduje również spokojnie i jest naprawdę instytucyą przynoszącą korzyść społeczeństwu, które ją powołało do życia, podczas gdy chryje wyborcze przenoszą się u nas do izby obrad... *O tu felix Austria!*

Wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych już się zakończyły zwycięstwem Mac-Kinleya, którego portret znajduje się w dzisiejszym numerze. Polityka imperyalistyczna, zaborcza, pragnąca dla Stanów Zjednoczonych wielkomocarstwowego stanowiska wzięła górę, a Bryan, kontrkandydat szczęśliwego zwycięzcy snuje zapewne niewesołe rozmyślania na temat dolarów wyrzuconych darmo za okno. Najbliższa przyszłość pokaże, dokąd zawędrują Stany Zjednoczone po śliskiej drodze wojen i zaborów, pewnem jest tylko to, iż Mac-Kinley zamierza zrzucić z siebie przeważną część odpowiedzialności za politykę zagraniczną, zostawiając rozstrzyganie ważniejszych jej zagadnień kongresowi i senatowi Unii. 7 stycznia roku przyszłego nastąpi uroczyste proklamowanie Mac-Kinleya prezydentem.

Niebieskie państwo pokpiwa sobie w dalszym ciągu z europejskiej dyplomacyi. Dużo obiecywać, a nic nie robić, oto dewiza przebiegłych chińczyków. Układy są ciągle w toku i przewlekają się coraz bardziej, cesarz Kwangsu pisze list po liście do różnych cesarzy i królów, a bokserzy gospodarują sobie dalszym ciągu po niby to zajętych przez wojska europejskie prowincyach. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że linia kolejowa z Pekinu do Tientsinu, zniszczona jeszcze na początku wojny przez hordy czerwonego kułaka musi być naprawiana w asystencyi żołnierzy, gdyż inaczej śmierć niechybna czekałaby robotników zajętych doprowadzeniem jej do jakiegoś możliwego stanu. Opancerzone pociągi jeżdżą ciągle tam i z powrotem po wyreperowanej już części drogi, odpędzając gradem kul całe oddziały bokserów, którzy zbyt natarczywie pragną przekonać się na własne oczy o postępie robót. Jak widać z dzisiejszej ryciny, pewna ilość żołnierzy jest wraz ze szybkostrzelnem działem umieszczona na tenderze. Armata spoczywa na ruchomej osi, tak, że można zwracać ją we wszystkich kierunkach. Zarówno lokomotywa jak i wagony są opancerzone grubymi płytami żelaza. Tak zabezpieczony pociąg służy nietylko do obrony robotników, lecz i do przewozu materyałów niezbędnych przy naprawianiu linii.

W artykułach dziennikarskich traktujących o wojnie chińskiej spotykamy się w ostatnim czasie bardzo często ze wzmiankami o Szanghaju. Pekin był do niedawna stolicą „państwa środka“, Szanghajowi przypada mniej zaszczytna, ale znacznie korzystniejsza rola miasta handlowego. Głównym przedmiotem handlu jest w nim herbata, wywożona stamtąd w olbrzymich ilościach. Ulice Szanghaju, (z których jedną przedstawia dzisiejsza rycina) odznaczają się olbrzymią ilością reklamowych



Przyjęcie nowicyusza przez uczniów Szkoły sztuk pięknych w Paryżu.

tablic w najprzeróżniejszych językach. Przeważa naturalnie chiński, ale nie rzadko można się spotkać z szyldem rossyjskim, francuskim lub angielskim. W pobliżu miasta znajdują się wielkie pokłady węgla.

Wśród paryskich studentów, żyje jeszcze ów duch cygański, którego Homerem był Murger w swoich „Scénes de la vie de Bohéme“. Kawiarnie w „Quartier latin“ i na Montmartre rozbrzmiewają wesołymi śmiechy, jak za czasów Rudolfa, Schaunarda, Mimi i Musetty, a wśród rozbawionej rzeszy wodzą prym synowie muz, zwłaszcza malarze, obnoszący swój dobry humor z jednakim spokojem umysłu po zaułkach kawiarnianych, jak i po korytarzach „Ecole nationale des Beaux-Arts“. Starym zwyczajem, przechowanym tradycyonalnie w tej akademii sztuk pięknych, każdy nowicyusz musi zostać obniesionym na drągu do około szkolnego podwórza. Od tej ceremonii, którą czytelnicy mogą obserwować na odnośnej rycinie, żaden nowo wstępujący uczeń nie może się uchylić i prędzej czy później, z wolą czy bez woli, przejedzie się na drągu w okół podwórza akademii. Trudno dociec przyczyny tego obrzędu, w każdym razie należy on do starszych obyczajów uniwersyteckich we Francyi i zawędrował do „Ecole des Beaux-Arts“, prawdopodobnie z jakiejś wszechnicy.

Rzeki afrykańskie na równi z galicyjskiemi nie są jeszcze tak zaopatrzone w mosty, jak to ma miejsce w krajach cywilizowanych, więc np. królowa dzikich odbywająca podróż mogłaby nieraz zamoczyć swe piękne hebanowego koloru stopy. Od czegóżjednak jest władczynią życia i śmierci poddanych? Na jedno słowo z jej ust czarna gwardya przyboczna włazi do wody i opierając tarcze na głowach buduje w ten sposób most, po którym monarchini przechodzi w tryumfie na drugi brzeg.

Jednym z najpopularniejszych dzisiaj kompozytorów niemieckich jest Engelbert Humperdinck, twórca „Jasia i Małgosi“. Stanowisko swoje zawdzięcza on zarówno wielkiemu talentowi twórczemu, jak i wirtuozowstwu, z którem włada formą kompozycyi. Przepyszna baśń muzyczna: „Jaś i Małgosia“ obiegając w tryumfalnym pochodzie sceny całego świata zawadziła także o Lwów, gdzie spotkało ją ogromne a bardzo zasłużone powodzenie. Tymi dniami prof. Humperdinck, został profesorem królewskiej akademii w Berlinie, gdzie powierzono mu klasę kompozycyi.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Nowe dzieło o Napoleonie. Literatura „napoleońska“ wzbogaciła się nową pracą. Napisał ją lord Rosebery, zatytułował: „Napoleon, the last phasis“ (Napoleon, ostatni okres) i wydał w tych dniach Londynie. Zapowiedziana już od dawna, książka ta stanowi narazie wypadek dnia w stolicy Anglii, zarówno ze względu na autora, jak i na treść. Zawiera ona opis pobytu cesarza na Ś-tej Helenie, oraz uwagi moralne i polityczne nad postępowaniem Anglii z pokonanym zwycięzcą. Przywódca liberałów angielskich surowy jest dla swoich rodaków, — wyraża żal, że rząd jego objął rolę stróża więziennego względem przeciwnika, który mniemał, iż może nfać jego wspaniałomyślności; gromi ostro niegodne postępowanie urzędników na Ś-tej Helenie, którzy nie byli bynajmniej okrutni, lecz przerażeni odpowiedzialnością, jaka na nich ciążyła. Lord Rosebery prostuje liczne szczegóły z pamiętników Antonmarchi'ego, Gourgaud'a i Las Cases'a; zamiast niepokonanego cezara, którego cierpienie objawiało się tylko wybuchami oburzenia i gniewu, przedstawia nam przygnębienie, stopniowy upadek więźnia, tego człowieka, „który rad już tylko leżał w łóżku, a który niegdyś utrzymywał, że dni były zawsze za krótkie“. Sąd lorda Rosebery'ego o Napoleonie jest szczery i bezstronny. „Jeśli wielkość“ — pisze — „polega na połączeniu zalet moralnych z przymiotami inteligencyi, nie był to oczywiście wielki człowiek. Ale jeśli wyraz „wielki“ jest jednoznacznym z nadzwyczajnym i wyższym, w takim razie niema wątpliwości. Napoleon przedstawia połączenie inteligencyi i energii, któremu może nikt nigdy nie dorównał, a nikt z pewnością nie przewyższył. Wzniósł się użyciem a zniszczył nadużyciem swoich zdolności nadludzkich. Zgubił się wybrykami własnego geniuszu. Jedynie tylko zalety, które go wzniosły tak wysoko, mogły spowodować jego upadek. Sąd lorda Roseberry'ego o współrodakach streszcza się w zdaniu następującem: „Jeśli S-ta Helena wywołuje wspomnienia przykre dla Francuzów, budzi stokroć przykrzejsze dla nas“.

* Przekłady z polskiego: „Bulletin polonais“ podał w zeszycie ostatnim przekład Brodzińskiego rozprawy pt. „Discours sur la nationalité“, oraz przekład „Rusałek“ Zaleskiego.

* „Torgowo-promyszlennaja gazieta“ pomieściła tłomaczenie opowiadania E. Orzeszkowej pt. „Tadeusz“. To samo pismo zamieściło również przekład nowelli St. Rossowskiego pt. „Wurf“.

— „Bartek zwycięzca“ Sienkiewicza, ukazał się w przekładzie francuskim, w wydaniu książkowem.

— W dodatku literackim zamieścił „Berliner Tagblatt“ tłomaczenie nowelli M. Rodziewiczówny pt. „Młyn Archipa“.

TEATR I MUZYKA.

* „Dama pikowa“, opera Czajkowskiego, została wystawiona w Operze warszawskiej i dość słabem powodzeniem Libretto — jak wiadomo — wzięte jest z nowelli Puszkina. Wykonanie było wyborne. Główne partye śpiewali panie Kruszelnicka i Frenklówna, oraz pp. Floryański i Grąbczewski.

* „Wernyhora“ Matejki, obecnie własność najstarszego syna zmarłego artysty, ma przejść, jak donoszą dzienniki warszawskie, w posiadanie znanego warszawskiego bankiera p. Stanisława Rotwanda.

Listy z linii A-B.

III.

Kiedy na Wschodzie w „zjednoczonej armii“
Zapanowała harmonia przykładnie,
A głupi Chińczyk za to wroga karmi,
Że Prusak bije, a Moskal go kradnie,
Nemezis dziejów — cichy głos sumienia,
Daje tyranom pierwsze upomnienia.

Wtedy i drobne na pozór wypadki,
Są już przestrogą, czy znakiem widomym,
Nawet siekiera — choć w ręku „waryatki“,
Nawet i tyfus z „łagodnym symptomem“,
Chociaż jak wieści mówią z Petersburga,
Pacyent zdrów będzie—zdaniem lejbchirurga.

I u nas także znajdziesz niezawodnie,
Aczkolwiek trochę na zmiejszoną skalę,
Podobne głupstwa i błędy i zbrodnie,
Które się u nas krzewią doskonale,
Ważniejsze jednak chyba dla narodu,
Niśli „wypadki z dalekiego Wschodu“.

Wszak i my mamy także „Wschód“ rodzimy,
Mamy w swych murach wybrany narodek,
Którego dziwnie cierpliwie znosimy,
Choć złe usunąć — jest niejeden środek,
I może nawet znalazłby się lekarz...
Lecz cierp narodzie, gdy z kuracyą zwlekasz.

Ten chwast żydowski wyrósł nad potrzebę,
I głów dosięga już nam pomalutku,
A pielęgnuje go sam Ignac — rebe.
Pilny ogrodnik w koszernym ogródku —
Która zasługa ceni się wysoce,
Bo ten „ogródek“ wydał już owoce.

Gdy mi nie wierzysz — bracie mój, pójdź [ze mną.
Na „zgromadzenia ludowe“ w tym sensie.
Cebuli wonią odetchniesz przyjemną,
Aż twa natura wstrętem się otrzęsie
I dech się zaprze i w oczach się zaćmi...
Z „mojżeszowymi“ poznałeś się braćmi.

Wnet na trybunę wchodzi jakiś łoter,
Z zamglonem okiem, wonią wódki owian,
Bije mu brawo zaprzedany Roter,
Uzurpujący sobie głos Krakowian,
I sam wyciąga do nich dłoń żebracżą,
Choć oni nawet kopnąć go nie raczą...

A co? nieprawda, że ładne obrazki,
Chleb hańby dla nich — jest chlebem po- [wszednim,
Więc gdy u żyda niechcesz stracić łaski,
Całuj go — w chałat i czołem bij przed nim,
A gdy do niego w pokorę się udasz,
Weźmiesz srebrniki, jak biblijny Judasz.

Amaris.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“.

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19/24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.*

Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**